HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

LIPIEC 2014/3

ZE SPECJALNYM UDZIAŁEM ŁUKASZA HENELA

BEZ PAPIERU NIE PRZEŻYJEMY | KLATKA KLIK | LEGITYMACJA | MAŁE DZIEWCZYNKI NIE SĄ GŁUPIE | NA POLU DAWNEJ BITWY |ORDNUNG MUSS SEIN | PAMIĄTKA Z TU-BERKULOZY | PRZESMYK | SPRAWA SKARBKA

www.magazynmisteria.pl

SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryka		4
BEZ PAPIERU NIE PRZEŻYJEMY	Agnieszka Bukowczan-Rzeszut	5
KLATKA	Olga Kaczmarek	15
KLIK	Damian D. Nowak	25
LEGITYMACJA	Ludwik Cyfer	35
MAŁE DZIEWCZYNKI NIE SĄ GŁUPIE	Piotr Borowiec	41
NA POLU DAWNEJ BITWY	Macin Tarka	50
ORDNUNG MUSS SEIN	Michał Wzgarda	58
PAMIĄTKA Z TUBERKULOZY	Przemysław Karbowski	65
PRZESMYK	Antoni Nowakowski	83
SPRAWA SKARBKA	Łukasz Henel	96

Redakcja: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki
Projekt okładki i skład: Roman Panasiuk
Ilustracje: Roman Panasiuk, Barbara Nizioł
Korekta: Dagmara Adwentowska

email: **magazynhisteria@gmail.com**

Witajcie!

Trzecie przykazanie mówi, aby „dzień święty święcić", a dla nas wydanie każdego numeru jest takim dniem. Jednak przyjście na świat lipcowej Histerii traktujemy szczególnie. Dlaczego? Z wielu powodów. Kiedyś na jednym z portali przeczytaliśmy komentarz, że takie pisma jak nasze wyrastają jak grzyby po deszczu i kończą swój żywot po jednym, dwóch numerach. Jak widzicie, udało nam się przekroczyć tę barierę i wszystko wskazuje na to, że co dwa miesiące będziemy pokonywać kolejne.

Lipcowa Histeria jest wyjątkowa też dlatego, że znajdują się w niej specjalne opowiadania. Jednym z nich jest „Sprawa Skarbka". Jego autor – nasz gość specjalny – Łukasz Henel przenosi nas w czasy PRL-u. W podobnym klimacie utrzymana jest opowieść Michała Wzgardy, którego możecie pamiętać z pierwszego numeru.

„Bez papieru nie przeżyjemy" to tekst, który wygrał w naszych Histerycznych Mistrzostwach na opowiadanie grozy z piłką nożną w tle. Jeśli chcecie wiedzieć, co mogło się wydarzyć po Mundialu w Brazylii, koniecznie do niego zajrzyjcie. Pozostałe siedem histerii różni się od siebie stylem i długością, ale każda z nich straszy nas na swój specjalny sposób.

Oprócz opowiadań w tym numerze znajdziecie wywiad z F. Violento, autorem „Krwotoku"– najlepszego opowiadania poprzedniej Histerii. Dobrze Wam znany ilustrator Roman Panasiuk podzielił się tym razem pracą z nową w naszych szeregach Barbarą Nizioł.

Zastanawiacie się, co na okładce robi grzybek? W ciągu ostatnich dwóch miesięcy do naszego histerycznego kosza wpadło ich dziesięć. Nie zatrujecie się nimi. W najgorszym wypadku złożą Wam wizytę panowie w białych fartuchach.

Pozdrawiamy,
Histeryczna Redakcja

WYZNANIA HISTERYKA

Francis
Violento

Z horrorem mam do czynienia od maleńkiego. Sięgam po pozycje klasyczne z lat 80., najnowsze japońskie straszydła i amerykańskie remake'i, dzieła wybitne oraz dramatycznie słabe. Uwielbiam książki Mastertona, Ketchuma, Lee, Senecala i Palahniuka. Pragnę w przyszłości podzielić ich los.

Gorąco pozdrawiam!

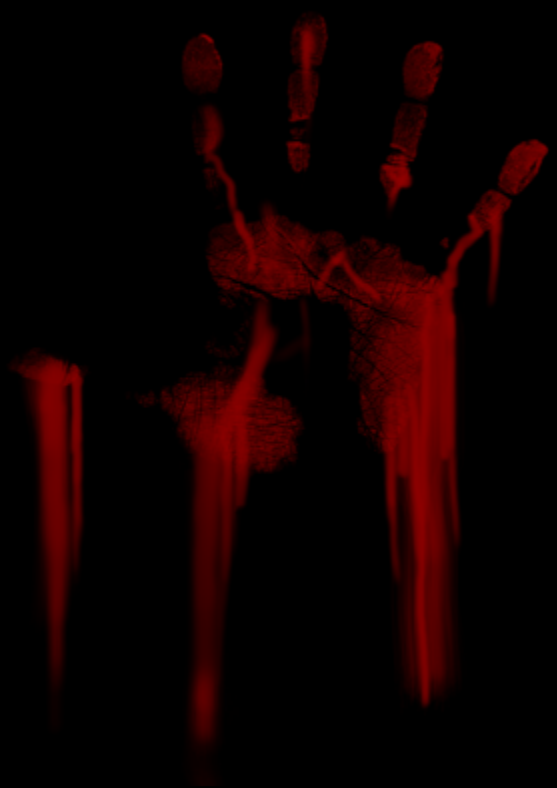

Skąd pomysł na „Krwotok”?

Wpadłem na pomysł, aby wgnieść bohatera w ziemię tak bardzo, jak tylko się da. Obudził się we mnie duch mizantropii! Wykorzystałem swoją wiedzę na temat okultyzmu. W tym opowiadaniu chodzi przede wszystkim o demony. Kto wpadnie w pułapkę dobitnie ukazanej patologii rodzinnej, może nie zrozumieć przesłania tekstu. Prócz skutków współpracy z Ciemnością chciałem też zaprezentować, jak zmienia się psychika młodego człowieka pod wpływem negatywnych bodźców. Polaków interesuje tematyka problemów rodzinnych, dlatego opowiadanie zostało docenione. Niemniej zdziwiła mnie aż tak duża liczba głosów; po cichu liczyłem na kogoś innego!

Jak wyglądała praca nad tekstem?

Potrzebowałem ok. trzech dni, aby skończyć „Krwotok”. Nie miałem większych problemów z pisaniem. Dużo czasu zajęła mi korekta. Musiałem przeczytać opowiadanie trzy razy i poprawić błędy.

Skąd czerpiesz inspiracje do pisania?

Po inspirację sięgam do najmroczniejszych zakamarków duszy, gdzie ulokowały się moje lęki i bolesne wspomnienia. Pisanie jest dla mnie jak katharsis, ale chętnie odwołuję się też do marzeń i fantazji. Wykorzystuję zdobytą wiedzę z psychologii, ezoteryki, teorii spiskowych, świata przyrody i zjawisk paranormalnych. Na dzień dzisiejszy sięgam głównie po ekstremalną formę horroru. Moje teksty często są eksperymentami literackimi lub parodiami. Zdaję sobie sprawę, że nie wszyscy to zaakceptują. Uważam jednak, że ludzie potrzebują czegoś nowego i oryginalnego. Dość już oklepanych historii o nawiedzonych domach i mordercach w lesie.

Z czym kojarzy Ci się słowo histeria?

Z niczym pozytywnym, chyba że mamy na myśli podstawy do napisania horroru: choroba psychiczna, oderwanie od rzeczywistości, utrata panowania nad sobą i mordercze wrzaski to niewątpliwie zacne elementy, z których można stworzyć wiekopomne dzieło!

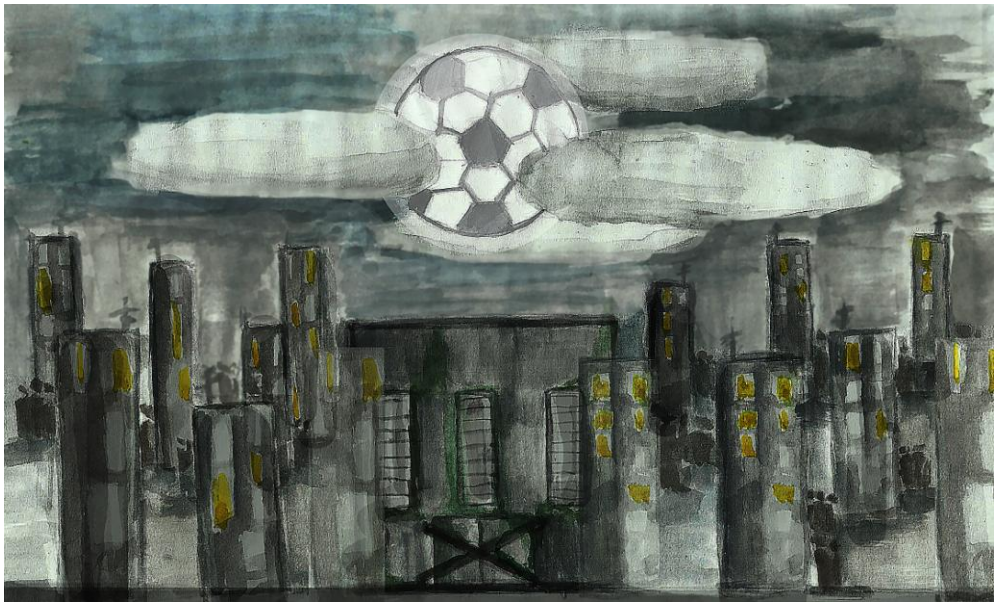

rys. Barbara Nizioł

BEZ PAPIERU NIE PRZEŻYJEMY

Agnieszka Bukowczan-Rzeszut

Prolog

Zaczynał się wrzesień, od mundialu minęły trzy miesiące. Dzieciaki powinny teraz spóźniać się do szkoły, wiezione na zajęcia w terenówkach, prowadzonych przez zestresowane mamusie na Xanaxie, a studenci przygotowywać się do poprawek w rozlokowanych na Kazimierzu knajpach. Gdyby życie toczyło się normalnym tokiem, miasto stałoby w nieludzkich korkach, a wszyscy spieszyliby o tej porze do pracy, pozdrawiając bliźnich na ulicy miną zbitego psa. Dwie młode kobiety biegły w górę ulicy Stradomskiej, zwykle zdominowanej o tej porze przez pieszych, miejscowych i importowanych. Na plecach miały turystyczne plecaki, na biodrach – kabury na broń, wokół twarzy przewiązane bandanki. Zniknęły w jednej z bram.

– Boże, nigdy nie przyzwyczaję się do tego smrodu… – mruknęła Sylwia znad puszki z tuńczykiem. Jadła łapczywie, wybierając palcami rybę, a olej ciekł jej po brodzie, skapując na kurtkę. Nadal karmiła, potrzebowała więcej jedzenia.

– Chcesz usłyszeć coś zabawnego? – spytała Agnieszka. Była głodna jak diabli, ale obowiązywały zasady. Dziś znów nie będzie jadła, może jutro.

– No.

– Kiedyś chciałam zostać technikiem sekcyjnym…

Sylwia parsknęła.

– … kurs kosztował sześć tysi!

Obydwie kobiety zaśmiały się. Na górze rozległ się jakiś hałas; znieruchomiały i spojrzały w kierunku balkonów. To tylko koty, pieprzone koty.

1.

Maciek właśnie wprowadzał się do nowego mieszkania i szlag jasny go trafiał, że nie podłączy przed mundialem swojego nowego, 42-calowego telewizora. Facet od mebli kuchennych już dwa razy przekładał termin. Chłopak od tygodnia spał na dmuchanym materacu, który ciągle łapał kapcia, bo termin oczekiwania kanapę też okazał się dłuższy, niż przewidział. Dobrze, że przynajmniej kibel stał na swoim miejscu.

Michał miał przyjść wieczorem i pomóc mu z elektryką. Może uda im się obalić potem jakąś flaszkę i wyprosi wspólne oglądanie meczyku. Aga nie powinna się dopieprzyć, ona jest spoko.

W piątek zapowiadali najniższą pełnię w roku. Kolejna pełnia w piątek trzynastego miała nastąpić dopiero za jakieś trzydzieści lat. Tego dnia Holendrzy roznieśli Hiszpanów, Michał i Maciek roznieśli dwa sześciopaki Tyskiego i cztery paczki chipsów paprykowych „TV PAKA”, a Aga zabrała laptopa i pojechała pracować do Sylwii, żeby mieć trochę ciszy i spokoju. Płaczące niemowlę gwarantowało większy komfort pracy niż dwóch chłopa dziko ryczących do telewizora.

***

– Jakieś kłopoty, Shar? – rzucił z okna wysoki, chudy chłopak, który tego dnia pełnił wartę. Ich najlepszy łucznik.

– Żadnych – rzuciła krótko Agnieszka. Weszły do budynku i skierowały się od razu do góry, na pierwsze piętro.

Budynek „skarbówki” był duży i bezpieczny. Obecnie odbywał się tam remont, który ciągnął się od wielu miesięcy, więc wejście od ulicy Grodzkiej było nieczynne. Potężne, zabytkowe drzwi zostały zabarykadowane, ale nawet gdyby tego nie zrobiono – i tak śmierdziele nie mieliby szans się tam dostać. Z kolei drugie wejście, od strony parkingu, zabezpieczono fragmentami rusztowania, dykt i płyt kartonowo-gipsowych, tworząc coś w rodzaju prowizorycznego korytarza, który ludziom służył bardzo dobrze, dla reszty stanowiąc barierę nie do przejścia. Okolica była zresztą spokojna – odkąd miasto wymarło, nikt urzędu skarbowego nie oblegał. Pchali się tutaj wyłącznie żywi.

Na pierwszym piętrze było bardzo przestronnie. W dawnych pokojach, gdzie niegdyś z duszą na ramieniu wyjaśniało się nieścisłości związane ze złożonym zeznaniem podatkowym, rozlokowały się rodziny, małżeństwa, pary z dziećmi. A pokoi było tu od cholery. Gabinet naczelnika zajął oczywiście Seweryn, przywódca grupy, ze swoją liczną rodziną.

– Szerszeń jest? – spytała Agnieszka spotkanego na korytarzu mężczyzny.

– Cześć, Shar. No. Wstał już, łaskawca. Zadania rozdziela. Jak wam poszło?

– Bardzo dobrze, sporo metalu, trochę plastiku.

„Metal” to produkty puszkowane. Cenne, bo miały długi termin przydatności do spożycia. „Plastik” to napoje butelkowane, zwłaszcza woda. Była też „mąka”, czyli wszystko, co w stanie sypkim – głównie zupki, buliony, itd. Na wagę złota były kasze, makarony, ryże, ale te trzeba było szybko zjeść, bo zwykle ich termin już dobiegał końca. A najczęściej był mocno po. Nikt jednak nie wybrzydzał, nikt nie grymasił. Nikt nie patrzył, czy z mąki durum, czy zwykłej, czy na etykiecie litania do Mendelejewa. Cieszono się z każdego znalezionego Vifona, Tyrolskiej czy byczków w oleju. Największe niejadki wsuwały wątróbki rybne, aż im się uszy trzęsły. Najgorzej jednak mieli jarosze, bo świeże warzywa dawno przeszły do historii, a wszelkie puszki z warzywami były chowane na „czarną godzinę”. Najpierw jedzono to, co miało się najszybciej zepsuć i nie było dyskusji – jaki kto dostał przydział, to jadł. Albo mógł oddać reszcie i głodować.

Sylwia pobiegła od razu do męża i córki, oddając Adze plecaki. Uginając się pod ciężarem zapasów, kobieta powlokła się w kierunku magazynu. Zastała tam swojego męża, dyskutującego o czymś zawzięcie z przywódcą grupy.

– 82 razy metal, 37 razy plastik. Mąki nie brałyśmy, mocno po terminie. Gdzie Sasza z ewidencją, trzeba to spisać od razu i wrzucić na magazyn. – powiedziała Agnieszka, stawiając plecaki na ziemi. Michał podszedł do niej i przytulił z czułością.

– Jakieś problemy? – spytał Seweryn.

– Nie, na rejonie spokojnie. Plącze się ich trochę, ale nie było konieczności walki.

– A żywi?

– Nie spotkałyśmy.

– Dobrze. Gdzie Judith? Dlaczego nie zdaje z tobą raportu?

Agnieszka uniosła brew.

– Poszła do córki, musi ją nakarmić.

– To nie może poczekać?

– Chyba sobie jaja robisz. Masz trójkę dzieci, Sherman. Nie wiesz, jak to działa?

– No dobrze. Mick, poszukaj Saszy. Muszę przedyskutować z Shar kilka targetów na ten tydzień.

Michał skrzywił się, ale spełnił prośbę.

2.

Fatalny rzut rożny w wykonaniu Wayne'a Rooneya w 77. minucie meczu z Włochami stał się powodem żartów w całym kraju. Podobno komuś piłka nawet szybę w oknie wybiła, a komuś innemu w ogródku wylądowała. Anglicy śmieją się z własnych piłkarzy, do czego to doszło… U nas mawiało się, że tacy „podwórkowi strzelcy" mają „cela jak baba z wesela".

Maciek zgniótł puszkę i rzucił w kierunku prowizorycznego kosza. Nie trafił. Sięgnął po telefon i zadzwonił do Michała.

– No co tam, panie? Wyjdziesz się przejść na chwilę? Pogadamy. No, za dziesięć minut na dole.

Maciek wciągnął spodnie nie pierwszej świeżości (pralka już stała podłączona, ale ciągle zapominał kupić proszku do prania) i wymiętoszoną koszulkę, a dwie minuty później już stał pod klatką. Zapalił papierosa i szybkim krokiem ruszył w kierunku starych bloków z wielkiej płyty, gdzie pod „dziewiątką" mieszkał jego najlepszy przyjaciel. Poszli w kierunku parku. Wieczór był ciepły i przyjemny.

– Oglądałeś? – spytał Maciek.

– Aaa, szkoda gadać… – burknął Michał. – Co za pizda.

– Ty, patrz, co to? – Uwagę mężczyzn przyciągnęła nagle jakaś postać na chodniku, może trzydzieści metrów dalej, skryta w półcieniu. A raczej dwie postaci. Ktoś leżał, a ktoś drugi klęczał nad nim. Leżący nie ruszał się, a klęczący najwyraźniej obszukiwał leżącego.

– O kurwa, złodziej… – szepnął Maciek. – Dzwoń po psy. Ej, ty!

Nagle klęcząca postać odwróciła głowę w ich kierunku. Podniosła się i przez chwilę stojąc w bezruchu, zaczęła iść w stronę mężczyzn. Wyszła z półcienia w światło latarni. Michałowi telefon wypadł z ręki.

– Co… do chuja… – wyszeptał Michał ledwie słyszalnym głosem.

W świetle latarni postać miała twarz pokrytą krwią, a z dłoni zwisały jej fragmenty wnętrzności, najwyraźniej ofiary pozostawionej na chodniku. Spojrzenie miała tępe, ruchy nieskoordynowane, nie wydawała też żadnych dźwięków.

– Kręcą tu jakiś film… na pewno… – rzucił Maciek drżącym głosem, rozglądając się wokół.

– No ta… masz rację… – Michał pokiwał głową, powoli podnosząc telefon. – Chodźmy stąd, nie chcę… być na żadnym durnym filmie…

Mężczyźni odwrócili się i ruszyli szybkim krokiem w stronę swoich bloków.

Wieczorem Michał nie mógł zasnąć. Pojechał na stację i zalał do pełna. Wykupił też cały zapas mineralek w dużych, pięciolitrowych baniakach. Potem zadzwonił do Maćka i poprosił, żeby przenocował u nich. Żonie powiedział, że sąsiad zalał mu łazienkę. Miał przeczucie, że to jednak nie był plan filmowy.

***

W grupie wszyscy mieli ksywy, poza dziećmi i nielicznymi starszymi osobami, które ani nie walczyły, ani nie zdobywały pożywienia. Imiona się powtarzały, więc posługiwanie się pseudonimami ułatwiało sprawną komunikację. Przywódca przyjął sobie pseudonim po generale Williamie Shermanie, dowódcy sił Unii, ale wszyscy za plecami nazywali go Szerszeniem, zasłużenie zresztą. Przywódcą był dobrym, ale lubić się go kompletnie nie dało. Zmienić się go też nie dało. Po prostu nie było aktualnie na jego miejsce nikogo lepszego.

Grupa liczyła aktualnie czterdzieści trzy osoby i zmontowano ją jeszcze zanim całkowicie padła komunikacja. Większość jej członków znała się bardzo dobrze – przyjaciele, krewni, współpracownicy, sąsiedzi. To kilkoro robotników pracujących przy remoncie i znających dobrze budynek ściągnęło tu rodziny i sąsiadów, a ci ściągnęli przyjaciół – i tak

się rozeszło. Niektórzy trafili do grupy przypadkiem. Na początku nie zostawiało się ludzi na śmierć. Znieczulica i nieufność przyszły później.

Nikt nie wiedział, jak się skończył mundial. I nikogo to już nie obchodziło. Setki tysięcy Polaków żyły wtedy planowaniem długiego weekendu. Ci, którzy go dożyli, nie musieli już martwić się o poniedziałkowego kaca. Obudzili się w zupełnie nowym świecie, w którym zostali zepchnięci ze szczytu łańcucha pokarmowego. Musieli podzielić się miastami z truposzami albo od nowa nauczyć się życia na wsi, z której dotychczas uciekali. Paradoksalnie, w mieście szanse przeżycia były większe, przynajmniej dla „mieszczuchów".

Nowy, wspaniały świat rządził się prostymi prawami, których trzeba było przestrzegać. Drapieżnicy i ofiary. Walka o pożywienie. Walka o terytorium. Walka o samice. Ten, kto ma wartość dla stada, ma w nim silną pozycję i nie musi się martwić o to, że pewnego dnia zostanie sam z szansami na przeżycie bliskimi zera. Zasady porządkują wspólne życie. Nie jojcz, bo każdemu jest ciężko. Nie łam zasad, bo w dziób.

Nadeszły inne czasy, inne problemy. Okazało się, że można i da się żyć z nieogolonymi nogami i nieświeżym oddechem, odpuścić sobie codzienny prysznic i myć się porządnie raz na tydzień w misce z deszczówką, a tłuste włosy zapleść w warkocz i nie ruszać ich przez dwa tygodnie. Za to prawdziwym problemem są takie rzeczy, jak leki, wkładki laktacyjne dla karmiących matek, soczewki kontaktowe dla kiepsko widzących, którzy nie mogli nosić okularów czy „gumki" dla tych, którym smród bijący z ulic miasta i własnych ciał nie psuł nastroju. W grupie Shermana były osoby chorujące na miażdżycę, nadciśnienie, ciężkie migreny czy cukrzycę. Dzieci potrzebowały kaszek, nie mogły jeść Tyrolskiej. Kaszki może jakoś uda się zdobyć, a jeśli nie? Leki się kiedyś skończą, nawet jeśli uda się zgromadzić zapas na pewien czas. Co wtedy? Carpe, kurwa, diem.

Agnieszka zapukała do pokoju numer 301. Mąż Sylwii wpuścił ją do środka.

– Przyniosłam wam coś. – powiedziała. Wyciągnęła spod bluzy puszkę cieciorki i drugą, pomidory z bazylią. Sylwia była jaroszką, czasem nie jadła nic, jeśli przypadła jej w udziale konserwa mięsna. Nigdy nie mogła liczyć na specjalne względy, nie zawsze mogła liczyć na zamianę z innym członkiem grupy.

Sylwia wytrzeszczyła oczy.

– Szerszeń się dowie!

– Nie dowie się, to było poza ewidencją. Schowałam pod bluzą. – Wręczyła puszki Paulowi, który natychmiast ukrył je pod materacem.

– Dziękuję, ale nie ryzykuj tak więcej. Znowu schudłaś. Powinnaś zacząć jeść.

– Lepiej nie, bo wróci mi „ciotka” i jeszcze w ciążę zajdę. – Agnieszka wyszczerzyła pożółkłe zęby i puściła przyjaciółce oko. – Wystarczy nam jeden spawn. Poza tym nic nie ryzykuję. Jestem najlepszą zbieraczką, całkiem nieźle walczę. Szerszeń zna moją wartość dla grupy.

– Nie bądź zbyt pewna siebie, Aga. Ktoś może cię podpieprzyć. Nie brakuje tu takich.

– Wiem. – Agnieszka usiadła na krześle przy biurku. – Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. W najgorszym razie mogę taką osobę zabrać ze sobą i cóż, wypadki chodzą po ludziach…

– Nie jesteś taka.

Agnieszka westchnęła.

– Nie jestem. Może ktoś inny, może Abdul albo Bambus… Gdyby ktoś ich sprowokował.

– Nie wierzę, że ktokolwiek mógłby… – Sylwia pokręciła głową.

– Masz rację. Żyjemy tu razem już trzy miesiące, Syl. Od tamtej pory nie mieliśmy ani jednego morderstwa ani gwałtu. Parę razy chłopcy obili sobie mordy, ale to się zawsze zdarza. Ludzie zżyli się ze sobą. Abdul w końcu znalazł sobie nawet kobietę na stałe. Zawiązują się związki, przyjaźnie… Całkiem nieźle to widzę.

– Dopóki nie skończy się jedzenie.

– I leki. Wtedy ludzie zaczną chorować, umierać. Zwłaszcza jak przyjdzie zima. Mamy tu dziadków, dzieci… Za to nie mamy lekarza.

– Przestań…

Sylwia spojrzała na córkę. Mała miała niespełna cztery miesiące. Urodziła się dwa tygodnie przed mundialem, ale nie dostała szansy poznać świata przed zagładą. Agnieszka westchnęła. Jeśli dorośnie, dowie się o nim wyłącznie z opowieści. I pewnie nie uwierzy, że w ogóle kiedykolwiek istniał.

3.

– Wstawaj, coś jest nie tak!

Agnieszka szarpała Michała za ramię. Był poniedziałek, spokojna dzielnica wydawała się zamarła. O tej porze ludzie powinni jechać do pracy, wychodzić z psami, z dziećmi na spacer, a tymczasem… nic. Pusto. Cisza.

Michał zerwał się jak oparzony.

– Maciek, wstawaj! Kochanie, pakuj się. Natychmiast. Wyjeżdżamy.

– Co? Co się dzieje?

– Powiem ci w trasie. Pakuj leki, soczewki, ciuchy, żarcie... Wynosimy się z miasta.

Michał złapał za telefon i zadzwonił do siostry. Na szczęście była na wsi, u teściów, a tam wszystko wyglądało spokojnie. Nic jej nie powiedział. Rodzice byli na działce. Wysłał ojca na duże zakupy i kazał zatankować do pełna, również nie tłumacząc mu, o co chodzi, choć ten uparcie domagał się wyjaśnienia i twierdził, że nie ma dość pieniędzy. Kazał też mamie zrealizować wszystkie recepty.

Po niecałej godzinie, zabierając z mieszkania zapasy i wszystko, czego mogliby potrzebować przez kolejne kilka tygodni, cała trójka wyszła z klatki, rozglądając się ostrożnie. Faktycznie, okolica była spokojna. Dziwnie spokojna. Wsiedli do auta i odjechali. Zaczęło się przy pierwszym centrum handlowym. Agnieszka przykleiła nos do szyby, nie wierząc własnym oczom. w biały dzień, na parkingu pod centrum handlowym M1, ludzie najwyraźniej jedli innych ludzi. A inni, nadal żywi, biegali wokół w panice, uciekając do samochodów, zakupy wypadały im z rąk, wózki wywracały się, jedni przewracali się o drugich, żywi o martwych lub umierających.

– O Boże… – wyszeptała Agnieszka, choć nasuwało jej się zupełnie inne sformułowanie.

– Widzieliśmy to samo wczoraj wieczorem. Myśleliśmy, że coś kręcą, nie mogliśmy uwierzyć – powiedział Maciek drżącym głosem.

– Jadę przez miasto. Tam się nie da przejechać. – Michał skręcił gwałtownie w kierunku Ronda Grzegórzeckiego i pomknął, nie zwracając uwagi na sygnalizację świetlną. Jak na siódmą rano w poniedziałek, ruch na jednej z największych krakowskich arterii był niemal zerowy.

– Potrzebujemy czegoś do obrony… – powiedziała Agnieszka nieskładnie. – Jedź przez Dietla. Tam są dwa sklepy, może jeszcze nie splądrowali.

Mieli szczęście – byli pierwsi. Wynieśli z Army Shopu wszystko, co uznali za przydatne, włącznie z latarkami, manierkami i krótkofalówkami. Militaria kilkadziesiąt metrów dalej już ktoś obrobił doszczętnie – przejeżdżając widzieli wybite szyby i bałagan w środku. Po drodze mijali pozostawione na drodze nieliczne auta, gdzieniegdzie snuli się pierwsi nieumarli, a ludzie w panice chowali się w budynkach. Zaczynało się.

Zadzwonił telefon Michała.

– Halo? Co? Gdzie jesteście? W urzędzie… jakim?? Wszyscy? Jezu…

Mężczyzna zahamował gwałtownie, aż włączył się ABS.

– Co się stało? – krzyknęła Agnieszka. – Kto dzwonił?

– Seweryn…

– Jak to? Ale po co?

– Są w urzędzie skarbowym, na Grodzkiej. Wszyscy, z rodzinami. Robią tam bazę. Ściągają tych, którzy chcą się przyłączyć. Mają broń, zapasy.

Michał odwrócił się do tyłu.

– Musimy zadecydować. Jedziemy czy zostajemy. Na wieś mamy dwie godziny jazdy. Chuj jeden wie, co będzie po drodze. Ktoś może nas zatrzymać, mogą chcieć sprawdzić, co mamy.

– Zadzwonię do Sylwii.

– Nie ma czasu, to drugi koniec miasta…

– Jeśli mamy bazę, to musimy ich zabrać! Jezu, Michał, oni mają małe dziecko!

Mężczyzna westchnął ciężko. Skręcił gwałtownie na przejście dla pieszych i zjechał w prawo, kierując się w stronę Mostu Dębnickiego, a następnie na miasteczko studenckie.

***

Zbliżał się wieczór. Agnieszka czytała przez chwilę, ale nie udało jej się zmęczyć oczu na tyle, żeby poczuła się senna. Podniosła się z materaca i poszła do męża, który pełnił dziś wieczorem wartę.

– Jak tam, skarbie, spokojnie? – spytała, obejmując Michała za szyję.

– Mhm. Łazi ich paru, ale nie są nami zainteresowani. Nie będę marnował strzał.

– Wiesz… dziś padł pomysł, żeby zdobyć nowy rejon – powiedziała Agnieszka. - Niektórzy sądzą, że warto organizować wypady na Kleparz.

– To za daleko. Zbyt duże zagrożenie.

– Szerszeń uważa, że powinniśmy zgromadzić więcej zapasów, zanim przyjdą mrozy. Jeśli trzeba będzie walczyć o rejon, to lepiej zrobić to teraz niż czekać, aż nie będzie już o co walczyć. Potrzebujemy jedzenia, broni, leków…

Michał westchnął. Wcześniej ściął się o to z Shermanem. Przywódca chciał zmienić status Agnieszki. Dotychczas była zbieraczką, ale miała otrzymać inne, znacznie bardziej niebezpieczne zadania.

– Co za gówno… – szepnął, poprawiając się na krześle. – Wszystkiego brakuje, żyjemy jak szczury, goniąc od śmietnika do śmietnika…

– No wiem… Niedługo zaczniemy się zabijać za czekoladę i paczkę papierosów.

– Mnie przeraża wizja dnia, w którym skończy się papier toaletowy. Bo kiedyś się skończy.

– Zachowaj tę ostatnią rolkę. – Agnieszka nachyliła się i pocałowała męża w brudne, skołtunione włosy. – Za trzy tygodnie mam urodziny.

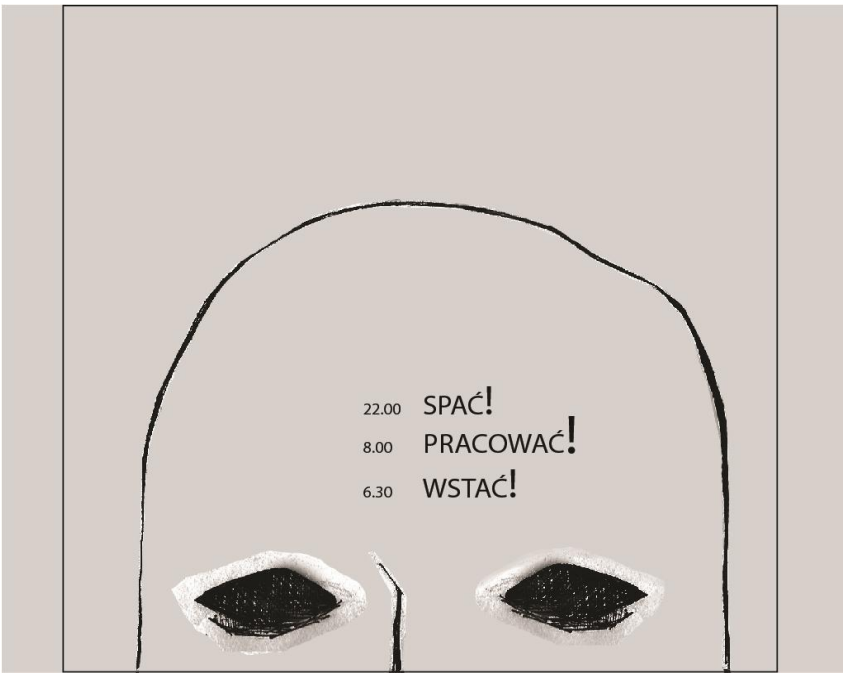

rys. Barbara Nizioł

Klatka

Olga Kaczmarek

Marek był strasznie znużony długą podróżą. Kilkugodzinna wyprawa do Stonerob zabrała mu resztki sił. Mimo wszystko cieszył się na myśl o spotkaniu z Asem. Długo się nie widzieli. Nić przyjaźni z wczesnych lat szkolnych nieco się zatarła przez te wszystkie lata. Mimo wszystko po wielu przejściach udało się im się w końcu umówić.

Marek był już na tyle blisko, że widział bramę miasta. Niecierpliwił się nieco, ponieważ wiedział, że umówił się z kumplem punktualnie o wpół do trzynastej, a było już dwadzieścia osiem po. As zawsze był przesadnie punktualny i pedantyczny. Cenił to również u innych ludzi, dlatego też Marek chciał jak najszybciej znaleźć się już za bramą. Woźnica jednak, mimo licznych ponagleń, jechał swoim tempem.

Ład i porządek – tak brzmiało hasło nad bramą wjazdową do Stonerob.

– Hmm… Idealne miejsce dla Asa – pomyślał kpiąco Marek.

Nie widział nigdy wcześniej podobnego napisu w żadnym innym mieście. Owszem często widywał szyldy, które witały przybyszów, miały wyrażać radość z obecności

przybyłych gości. Ten był jakby inny. Marek odebrał go jak rodzaj ostrzeżenia. W każdym razie już teraz wiedział, że jego spóźnienie nie będzie mile odebrane przez przyjaciela.

Dyliżans zatrzymał się kilkadziesiąt metrów za wjazdem do miasta. Woźnica odblokował i otworzył drzwi, wypuszczając pasażera z pojazdu.

Marek spojrzał na człowieka, który pomógł mu tu dotrzeć. Pomimo tego, że jechał bardzo powoli, chciał podziękować za bezpieczną podróż. Twarz mężczyzny była jednak nieco inna niż te, które zwykł oglądać na co dzień. Człowiek ten miał jednolicie czarne oczy. Czerń zdawała się być zachłanna, jakby miała pochłonąć wszystko dookoła. Wysiadł powoli, przy czym czujnie mu się przyglądał. Woźnica, jak gdyby nigdy nic, ukłonił się i odjechał kawałek dalej.

Nie, coś mi się przywidziało. Przecież gdyby nie miał źrenic, już dawno bym nie żył. Ślepi nie jeżdżą dyliżansami, głupcze! – pomyślał trzeźwo Marek.

– Dzikus! To ty? Dzikus, tu jestem!

Marek jakby przebudził się. Tak kiedyś nazywał go As. Gdy tylko się odwrócił, przyjaciel energicznie klepnął go po ramieniu i uśmiechnął się szczerze. Marek odruchowo spojrzał na jego oczy. Całe szczęście, nie zauważył nic niepokojącego.

– Liczyłem na to, że przyjedziesz na czas. Tutaj, w Stonerob, liczymy się z czasem innych – rzekł chłodno As.

Marek zdziwił się, gdy jego przyjaciel przywitał go tymi zimnymi słowami. Spodziewał się innego przyjęcia, w końcu nie widzieli się wiele lat.

– Wybrałem zły dyliżans. Facet jechał, jakby chciał, a nie mógł. Sam bym jechał szybciej. Haha! – powiedział Marek, chcąc obrócić sytuację w żart.

– Woźnica jechał jak powinien. To ty powinieneś był wyruszyć dziesięć minut wcześniej. Wtedy byłbyś na czas. No ale dość już tej gadaniny! Musimy się spieszyć, jeżeli chcemy zdążyć się napić i pogadać. Zostało nam jakieś dwadzieścia pięć minut. Znam tu naprawdę świetne miejsce. Dobre piwo i świetna muzyka. Mówię ci, stary, warto tam wpaść, mimo tego, że możemy tam spędzić tak niewiele czasu.

Marka ogarnęła delikatna konsternacja. As zachowywał się inaczej niż za czasów studiów. Poruszał się nerwowo. Niby rozmawiali, ale Marek cały czas odnosił wrażenie, jakby uwaga Asa zaprzątnięta była czymś zupełnie innym. No i na dodatek jeszcze ten początek spotkania. As zdenerwował się tak, jakby stało się coś naprawdę poważnego. Nie wiedział nawet, czy jego kumpel choć w niewielkim stopniu cieszy się ze spotkania.

Po krótkiej chwili byli już na miejscu. Mała kamienica z dość dziwnym szyldem nad wejściowymi drzwiami: „Najlepsze 30 minut – Następny”.

– No! Jesteśmy na miejscu – rzucił As.

Zanim obaj weszli do środka, spotkali karła, który stał w progu. Nie był chyba zbyt zadowolony ze spóźnienia, sądząc po wyrazie twarzy. Sako, bo takie imię zdaje się widniało na plakietce, dał im stoper, który zaczął odliczać trzydzieści minut. Asa chyba nie zdziwił czarny odcień oczu u niskiego osobnika.

Marek nie do końca wiedział, co się dzieje. Nigdy nie spotkał się z tym, żeby ktoś wyznaczał mu czas, jaki może spędzić w knajpie. Z reguły spędzał w nich całe wieczory, zatracając poczucie czasu, rozmyślając nad zdarzeniami swojego życia.

– Stary o co chodzi? – Marek w końcu nie wytrzymał. – Dlaczego chodzisz do miejsc, gdzie wyznaczają czas, jaki można tam spędzić? Nie wydaje ci się to… hmm… dziwne?

– Dlaczego? Wręcz przeciwnie. To rewelacyjne rozwiązanie! Spójrz tylko, unikamy dzięki temu kolejek, w związku z tym nie ma czegoś takiego jak strata czasu. No, może czasami zdarzają się wyjątkowe sytuacje. – As spojrzał w tym momencie na Marka, po czym kontynuował.

– Ludzie wiedzą, na którą godzinę mają przyjść do wyznaczonych miejsc, żeby wszystko sprawnie załatwić. Ponadto, pół godziny w barze to czas wystarczająco długi, żeby napić się piwa i chwilę pogadać – mówiąc to, As chwycił dwa kufle piwa z wątłą pianką, po czym oddalili się do swojego stolika.

Marek nie potrafił tego wszystkiego przełożyć na swój język. Znalazł się w dziwnym miejscu, w którym rytm codziennego dnia odliczano według ściśle określonego planu, a jego przyjaciel zdawał się bronić zasad całym sobą.

– Dzikus, widzę, że sceptycznie podchodzisz do nowego otoczenia. Cóż... Stonerob to miejsce, gdzie na pewno nie marnuje się czasu. Ludzie tutaj chcą po prostu czystej harmonii, chcą systemu, który będzie im wskazywał, co i kiedy mają robić. Nie marnujemy czasu na przemyślenia, ale mamy również czas wygospodarowany na rozrywkę – godzinę dziennie. Dzięki temu pracujemy, ile potrzeba, śpimy tyle, ile potrzebuje ludzki organizm, uprawiamy seks tak często, by każdy był zaspokojony. Co do tego ostatniego, wiadomo, że jest to czynność dedykowana dla dorosłych. Więc osoby poniżej dwudziestego pierwszego roku życia nie odczuwają popędu płciowego.

Osłupiały Marek słuchał każdego słowa z ogromnym niedowierzaniem i sceptycyzmem. Miał wrażenie, że trafił do jakiejś legalnej sekty. Ludziom zaszczepiano od najmłodszych lat dziwne reguły, do których każdy się dostosowywał. Bezsprzecznie, niepodważalnie, bezapelacyjnie.

– OK, rozumiem waszą potrzebę ładu i porządku, w sumie w dzisiejszych czasach brakuje ludziom samoorganizacji i dyscypliny, ale powiedz mi, stary, w jaki sposób to wszystko funkcjonuje. Jakim cudem udało się wywołać taką potrzebę u wszystkich? Nie wierzę, że nie znalazła się osoba, która nie zaakceptowała reguł waszej gry.

– Oczywiście, że były takie osoby. Na samym początku, kilka lat temu w Stonerob odbyło się głosowanie. Całe szczęście znaczna większość była za ładem i porządkiem. Tylko nielicznym ten pomysł się nie spodobał. Osoby, które stawiały czynny opór przeciw wprowadzeniu nowych zasad, zostały wydalone z miasta. Nie obyło się bez dramatów rodzinnych. Ale wszystko to w imię najwyższego ludzkiego dobra.

As sztucznie zasmucił się, po czym zaczął kontynuować.

– Jesteśmy w trakcie wprowadzania do użytku programatorów, mających bezpośredni związek z planowaniem codziennego życia. Przekazują one ludziom sygnały informujące o zakończeniu jednej i rozpoczęciu kolejnej czynności. Dają podgląd na to, co się ma dziać w danym dniu, dzięki czemu ze wszystkim będziemy na bieżąco. Przyznasz, że imponujące, prawda?

Marek nie wiedział, co ma powiedzieć. As opowiadał o tym wszystkim z przerażającym entuzjazmem. Jego oczy płonęły z podniecenia niczym pochodnie.

– Tak, imponujące – odparł bez przekonania Marek.

Zdał sobie sprawę, że jego przyjaciel tak silnie wierzył w słuszność swoich przekonań, że jakakolwiek perswazja mijałaby się z celem.

– Jaka będzie zasada działania tych programatorów? W jaki sposób macie zamiar wprowadzić je do użytku? – Marek mimo zszokowania nie mógł powstrzymać się od zadania kilku pytań.

– Cóż… Stonerob zostało podzielone na sektory, co ułatwi proces asymilacji. Mieszkańcy poszczególnych rejonów są wzywani według wcześniej określonej kolejności. Muszę ci się pochwalić, że dwa z trzech sektorów przeszło już pomyślnie asymilację. Oni już są szczęśliwymi, niemarnującymi czasu ludźmi – powiedział As, po czym wziął łyk rozgazowanego piwa i uśmiechnął się z dumą. – Sam proces jest prawie całkowicie bezinwazyjny i polega na wszczepieniu mikrochipa w okolice przysadki mózgowej. Chip odbiera sygnały z generatora w Bazie, a następnie są one kierowane do obszarów w mózgu odpowiedzialnych za poszczególne czynności. W efekcie człowiek nie musi myśleć, jaką czynność ma wykonać, po prostu ją robi. Podświadomie.

Ostatnie zdanie, które wypowiedział As, wprawiło Marka w osłupienie. *Człowiek nie musi myśleć… po prostu robi…* – As, to, co robicie, brzmi naprawdę imponująco, ale przecież

naturą człowieka jest to, że planuje, myśli, układa sam sobie pewien scenariusz. Być może czasem popełnia błędy, ale leży to w jego naturze. Nie mogę aprobować tej sytuacji, bo to zwykła…

– Marku, wiem, wiem… – przerwał koledze As. – Dehumanizacja? To chciałeś powiedzieć?

– Nie ukrywam, że słowo to przechodzi mi przez myśli.

– Niepotrzebnie, bo przecież człowiek pozostaje człowiekiem, po prostu po asymilacji energia umysłu odpowiedzialna za bzdety, takie jak planowanie, szacowanie, układanie, zostaje przekierowana na odczuwanie satysfakcji z wykonywania wszystkiego na czas i w terminie. Myślę, że najlepszym sposobem, żeby przekonać cię do tego, co mówię, będzie zabranie cię do Bazy, żebyś sam mógł zobaczyć, jak to wszystko działa, i jak pozytywna zmiana zachodzi w zachowaniu człowieka. Ja sam też będę poddawał się asymilacji. Niestety, muszę jeszcze trochę poczekać, bo mieszkam w sektorze trzecim, a nie chciałem zaburzać porządku procesu asymilacji.

Po kilku sekundach zbliżył się karzeł, przypominając o tym, że czas przeznaczony na pobyt w knajpie dobiegł końca. Marek i As wstali, zapłacili szybko i wyszli w towarzystwie karła. Gdy oddalili się kawałek, Marek rzucił szybkie spojrzenie w jego kierunku, tak jakby chciał się upewnić, czy mrok w jego oczach nie był tylko przewidzeniem…

– Jutro punktualnie o siódmej rano zaczynamy asymilację sektora trzeciego. Chciałbym, żebyś przyszedł. Myślę, że po wizycie w Bazie zmienisz nastawienie.

Marek milczał.

– W porządku, tutaj masz instrukcję dojścia do swojego hotelu – powiedział As, wręczając Markowi kartkę papieru z małą mapką. – Jutro za dwadzieścia siódma będę czekał na ciebie przed wejściem do hotelu, a potem pójdziemy razem na miejsce. Nie spóźnij się. Trzymaj się i do jutra! – rzucił na pożegnanie As.

Marek stał przez chwilę przed wejściem do hotelu. Przez jego umysł przelatywał potok myśli. Myślał, że kumpel zaprosi go do siebie, że będą gadać całą noc, pijąc wódkę. Tak się jednak nie stało. As miał już ustaloną harmonię, której przyjazd przyjaciela nie był w stanie zburzyć. Teraz już sam nie wiedział, czy słusznie zrobił przyjeżdżając do Stonerob. Marek miał wrażenie, że As zaprosił go chyba tylko po to, by posiedzieć razem w barze przez pół godziny i zaliczyć wizytę z Bazie, której szczerze się obawiał.

Nie mógł zasnąć, sen zdawał się być czymś nieosiągalnym.

– Może tutaj ludzie nie miewają snów, żeby nie tracić czasu, która potrzebna jest na czystą regenerację ciała? Może sny powoduję zakłócenie porządku wykonywania codziennych czynności? Nie zdziwiłoby mnie to – powiedział sam do siebie.

Kiedy w końcu Markowi udało się zasnąć, przenikliwy dźwięk budzika postawił go na równe nogi. Wewnętrzny bunt sprawiał, że miał nieodpartą ochotę spóźnić się na spotkanie z Asem, wiedział jednak, że spowoduje to falę wyrzutów i nauk w tematyce wagi bycia punktualnym, więc wyszedł równo o szóstej czterdzieści.

– Widzę, że szybko się uczysz! – rzucił ironicznie As.

Marek był zbyt zaspany, żeby rozpocząć z kolegą dyskusję. Szli więc w milczeniu, które przerywały co kilka minut dość głośne ziewnięcia przybysza.

Mimo tego, że było dość wcześnie, na ulicach było bardzo dużo osób. Wszyscy w jakimś dziwnym stanie hipnotycznym spieszyli do pracy. Ludzie, których mijali, zdawali się nie zwracać uwagi na to, co się dzieje dookoła, szli jednostajnie, równym tempem, skoncentrowani jedynie na tym, żeby na czas dotrzeć do celu. Większość z nich miała już ułatwione zadanie, gdyż chipy wszczepione pod skórą sterowały czasem co do minuty, więc spóźnienie w ogóle nie wchodziło w grę.

W końcu dotarli na miejsce. Przed wejściem czekały już pierwsze osoby, które miały przejść tego dnia proces asymilacji. Dało się wyczuć w ich zachowaniu ogromne podniecenie. As i Marek weszli jako pierwsi.

– No! Oto i moje królestwo – powiedział As z dumą.

Pomieszczenie wyglądało jak sala operacyjna. W środku było pięć stanowisk asymilacyjnych, a przy każdym znajdował się komputer, komplet narzędzi chirurgicznych i rejestrator fal mózgowych oraz mnóstwo innych przedmiotów, których Marek nie umiał nawet nazwać.

– To tutaj wykonujemy cały zabieg. Za dwadzieścia pięć sekund wejdzie pierwszy z kolejki.

Tak jak powiedział As, po chwili drzwi otworzyły się i w progu pojawił się drobnej budowy młody mężczyzna. Jego niebieskie oczy były teraz wielkie niczym dwa księżyce. Nie próbował, a może nawet nie chciał kryć podekscytowania. Mężczyzna udał się do pokoju przygotowań, gdzie dokładnie się umył i przebrał w sterylne ochraniacze.

As zaprosił go do stanowiska. Chłopak położył się posłusznie na łóżku. Niemal w tej samej sekundzie pojawiła się pielęgniarka i dwóch mężczyzn, których profesję ciężko było nazwać.

Marek bacznie obserwował, co się działo. W jednej sekundzie młodzieńcowi wstrzyknięto środek, po którym błyskawicznie zasnął. Na ekranach widać było pracę jego serca i stan wszystkich czynności życiowych. Kiedy tylko nadszedł odpowiedni moment ludzie odziani w białe kitle zbliżyli się do czaszki chłopaka, którego wcześniej ułożono już na brzuchu. Po chwili zaczęli wwiercać się ogromnym wiertłem w szyję chłopaka. Nie robili tego delikatnie. Kiedy już uznali, że doszli wystarczająco głęboko, chwycili za drugi przedmiot, przypominający cienką rurkę, zakończony małym woreczkiem, wypełnionym zieloną cieczą. Woreczek wylądował na końcu wywierconej dziury, tuż przy przysadce. Marek czuł, jak zbiera mu się na wymioty. To, co widział, przerosło jego wyobrażenie o zabiegu. Zaczęło kręcić mu się w głowie.

– Już prawie kończymy. Zostało jeszcze przytwierdzenie chipa wewnątrz woreczka – rzucił jeden z mężczyzn.

Nagle rejestrator fal mózgowych wydało z siebie dziwne dźwięki. Również urządzenie pokazujące pracę serca zaczęło jednostajnie buczeć. Zaraz po tym pojawiła się na nim podłużna linia. Operowany mężczyzna dostał silnych drgawek, z jego uszu wypływała krew, a usta wypełniła piana.

– Schodzi nam! Szybko, przynieś neutralizator!

Marek poczuł, jak słabnie. Chciał pomóc przy ratowaniu chłopaka, ale jego nogi były coraz cięższe. To, co zobaczył, przerosło go. Poczuł, jak wszystko wokół się kręci, obraz zdawał się być coraz bardziej zamazany, widział ruchy białych kitli jakby w zwolnionym tempie.

Zabieg jest prawie bezinwazyjny, zdążył przywołać w pamięci słowa Asa, po czym nieprzytomny opadł na ziemię….

***

Marek obudził się o szóstej rano w swoim pokoju hotelowym. Odruchowo spojrzał na zegarek. Zdziwił się, że obudził się sam, bez budzika, punktualnie o szóstej. Wstał energicznie, bo wiedział, że umówił się z Asem. Poszedł do łazienki, spędził tam pół godziny, potem zaczął się ubierać. Kiedy schylił się, żeby zawiązać sznurówki, poczuł przeszywające ukłucie z tyłu czaszki. Ból był tak silny, że nie mógł kontynuować zawiązywania butów. Dotknął miejsca, które bolało go najbardziej. Poczuł zaschniętą krew pod palcami. Mimo tego, że nurtowało go, skąd mogła się tam wziąć, wiedział, że powinien już zejść, żeby nie spóźnić się na spotkanie z Asem. Był gotowy w pięć minut, po czym zszedł na dół.

Przed wejściem czekał już As.

– Witaj przyjacielu! Jak się czujesz? – zapytał z uśmiechem.

– Bardzo dobrze, spałem wyśmienicie, mam dziś wyjątkowo dużo energii do działania, mam tylko jedną zagwozdkę. Na mojej szyi pojawił się dziwny strup. Może macie jakieś robactwo w hotelu?

– Może…

– Musimy iść do Bazy. Przecież nie wolno nam się spóźnić. Będziemy tam do południa. Potem mam już inne zadania do zrobienia.

Marek miał wszystko dokładnie poukładane w głowie. Godzina po godzinie. Wszystko zdawało się tak perfekcyjnie uporządkowane, tak dobrze zaplanowane.

– Muszę cię zmartwić przyjacielu. Nie pójdziemy dzisiaj do Bazy. Ale obiecuję, że zabiorę cię tam przy najbliższej okazji. Pamiętam o tobie. Ja zawsze dotrzymuję słowa – powiedział As, wpatrując się z uśmiechem w czarne oczy swojego przyjaciela. Nie doczekał się reakcji, więc oddalił się w kierunku miasta.

Marek stał przez chwilę, przetwarzając informacje, które usłyszał. *Innym razem… teraz nie.*

Bezwiednie zaczął krążyć w kółko, w końcu do dwunastej miał jeszcze kilka godzin. Kolejna czynność musiała zacząć się punktualnie. Poruszał się jak w matni, patrząc tępo w przestrzeń. Szedł swoim tempem. Nie za szybko, nie za wolno. Wiedział dokładnie, ile okrążeń powinien jeszcze zrobić żeby wybiła dwunasta. Krążył więc…

Dzień Marka, poza małym zaburzeniem poranka, był bardzo owocny. O dwunastej udał się kupić nowe spodnie, co zajęło mu dokładnie pół godziny, następnie spacerował po pobliskim parku blisko cztery godziny. Chętnie zostałby tam dłużej, ale musiał zdążyć na siedemnastą do muzeum, gdzie przebywał aż dwie godziny. Na dziewiętnastą trzydzieści zjawił się w „Najlepsze pół godziny – Następny" na piwo i obiad. Pół godziny w barze okazało się czasem zupełnie wystarczającym. Zmęczony całym dniem poruszania się po Stonerob, zawitał w końcu do swojego hotelu i o dwudziestej pierwszej poszedł spać. Przed snem nie rozmyślał, jak miał w zwyczaju. Nie przywoływał wspomnień. Zasnął.

***

Po kilku godzinach ciężkiego snu, Marka obudziły jakieś odgłosy z ulicy. Z każdą minutą stawały się coraz głośniejsze, z czasem zaczęły przypominać ludzkie pojękiwania.

Lament nie dobiegał z jednego miejsca. Kiedy stał się bardziej przytomny, zorientował się, że dziwne dźwięki dochodzą z różnym natężeniem z każdej ulicy miasta.

Wstał szybko, ubrał się i, kiedy miał zamiar już iść w kierunku drzwi, jego wzrok skierował się na okno. W oddali widać było jedynie kopułę budynku, gdzie mieściła się Baza. Stała w ogniu. Marek nigdy wcześniej nie zorientował się, że mógł zobaczyć jej wierzchołek przez okno hotelowe, ale teraz bardzo szybko rozpoznał budynek, gdyż nie dało się nie zauważyć płonących anten Bazy.

Marek nie wiedział, czy ma się cieszyć czy smucić. Odkąd stał się gościem Stonerob, nie przepadał za Bazą. Rozmowy z Asem na ten temat nie wywoływały w nim euforycznego zachwytu nad ideą sterowania ludzkim umysłem. Ale z drugiej strony, te lamenty… Dlaczego ludzie tak rozpaczają? Co się stało na dole?

Postanowił nie analizować już dłużej, tylko zszedł schodami na dół. Marek zaczął ostrożnie otwierać drzwi wejściowe. Z każdym centymetrem widział coraz więcej. Jego zielone oczy chłonęły to, co się działo.

Ludzi opanował rodzaj zbiorowej agonii. Schizofreniczny taniec ciał, psychodelicznie rozbiegane oczy.

Oczy! Już nie były czarne. Nabrały pierwotnych barw, jednak ze źrenic sączył się strach.

Marek wyszedł na chodnik, poruszał się bardzo ostrożnie, nie wiedział bowiem, czego może się spodziewać po tych ludziach. Nagle jakaś kobieta rzuciła mu się na szyję, zaczęła potrząsać jego ramionami. Jej drżące usta były zaledwie kilka centymetrów od twarzy Marka. Grymas bólu i strachu jednocześnie przeszył oboje.

– Przypomnij mi… co powinnam dziś robić... Nie mogę sobie... przypomnieć. Nie wiem… Nie wiem… – mamrotała szeptem kobieta.

Jej wysoki głos i wibracje, które towarzyszyły każdemu słowu, przewiercały mózg Marka. Kiedy kobieta zorientowała się, że Marek nie zna odpowiedzi na jej pytania, rozpłakała się i, krzycząc panicznie, pobiegła przed siebie.

Umysłowa agonia ludności Stonerob trwała. W Marku coraz silniej wzbierały emocje, czuł, jak z każdym jękiem cierpienia w jego ciele spina się każdy mięsień, jak ścięgna naciągają się.

– Róbcie to, na co macie ochotę! Jesteście już wolni, smycze umysłu zostały zdjęte. Nikt nie powie wam, co macie robić, sami planujcie i działajcie! – krzyknął ze łzami w oczach Marek.

Nagle na końcu ulicy pojawił się As. Trzymał w ręku plik kartek. Był dziwnie spokojny. Podchodził do każdego z osobna. Gdy skierował się do starszego mężczyzny, przytulił go niczym ojciec. Głaskał po głowie, szeptał coś do ucha, po czym wręczył kartkę. Starzec wyraźnie uspokoił się, spazmy zdawały się ustępować. Przyjrzał się dokładnie temu, co było napisane na kartce, po czym, jak gdyby nigdy nic, odszedł. To samo As uczynił z kolejnymi piętnastoma osobami. Tłum powoli malał. As w końcu podszedł do Marka, machnął mu przed oczami kartką, na której Marek zdołał zobaczyć tylko rozpiskę godzin.

– Widzisz? Jednak można ich klatki zostawić otwarte.

Odwrócił się i przytulił kolejną osobę…

rys. Barbara Nizioł

Klik

Damian D. Nowak

W internecie pełno jest dziwnych stron.

klik

Procatinator.com na ten przykład to genialna eksploatacja popularnego kociego tematu w zupełnie nowy sposób. Po udanym wirusie na skalę światową, jakim był kot Pusheen, przyszedł czas na ruchome obrazki – gify – z dołączoną przypadkowo muzyką. Ludzie mogli na tym siedzieć godzinami, przynętą była najmocniejsza broń, w jaką mogła wyposażyć zwierzęta natura – bycie uroczym.

klik

Alexchiu.com to kompletnie inny rodzaj marnowania życia przed ekranem. Tu już nie chodzi o zabawny kontent, nie tylko, choć większość ludzi odwiedza tę stronę właśnie w poszukiwaniu komicznej treści. Nie, Alex sprzedaje życie wieczne, a raczej urządzenie, które ma je umożliwić. Liczba rysunków zrobionych w Paincie, które zdobią dostępne na stronie „wykłady", jest bezcenna.

klik

Przetarłem oczy i ziewnąłem. Od kiedy podjąłem pracę w firmie IT należącej do przyjaciela, moje zarobki znacznie wzrosły, jednak harówka zasadniczo nie miała końca. Poszedłem do kuchni. Czas na kawę, już trzecią dzisiaj. Nie prowadzę zdrowego trybu życia, niestety.

Oparłem się o blat i spojrzałem za okno – słońce już zachodziło, a przede mną były jeszcze dwa pełne zlecenia – czułem, że się nie wyśpię.

– Sen jest dla słabych.

– Miau – odpowiedział mi posłusznie mój kot, Pan Zielony.

Swój przydomek zawdzięczał okolicznościom, w jakich go znalazłem – grupa lokalnych młodocianych zbirów dopadła go pod śmietnikiem, z planem zmiany koloru umaszczenia. Powstrzymałem ich przed wykonaniem niecnego planu, jednak zdążyli farbą w sprayu zrobić zwierzakowi szlaczek na plecach, który po dziś dzień był dostrzegalny pod światło. Biedaczek był otumaniony oparami, próbował przede mną zwiewać, ale wpadł prosto na ścianę. Nieprzytomne zwierzę zaniosłem na rękach do swojego mieszkania i już tak zostało, pomimo regularnego niszczenia mebli przez półdzikiego kota.

Wróciłem do komputera, zastanawiając się, w co najpierw włożyć ręce. Sam stworzyłem swój zawód, oficjalnie byłem „doradcą wizerunku w Internecie" co było tak nieostrym, jak i niezręcznym pojęciem. Praktycznie zajmowałem się wyszukiwaniem domen, na których można by zarobić, adaptacją stron anglojęzycznych na rodzimy język. Pomagałem ludziom wykreować ich tożsamość w internetach oraz rozwinąć pomysły na biznes w Sieci. Wszystko i nic, specjalista bez specjalizacji. Po części winne temu były moje studia filozoficzne, które, poza zrujnowaniem nadziei na istnienie prawdziwie szczęśliwej istoty ludzkiej, niewiele mi dały. W jakiejkolwiek kwestii. Kolejny mądry idiota bez żadnej praktycznej umiejętności.

Z gotową kawą wróciłem przed monitor komputera. Krok za krokiem, krok...

łup

Mam chrześniaka, cudowne dziecko, którym dość często ostatnio się zajmowałem. Miał jedną, dość sporą wadę – rodzice nie nauczyli go zaradności, na przykład tak przydatnej, jak sprzątanie po zabawie. Potknąłem się o jedną z moich starych zabawek, które ukrył pod dywanem, w „majnkraftowym tunelu", jak to nazywał. Mój nos uniknął spotkania z podłogą, jednak niemal cała zawartość kubka wylądowała na moich zielonych spodniach, beżowym dywanie i parkiecie. Zakląłem szpetnie, czując, jak napój parzy mi skórę.

Do tego Pan Zielony ten właśnie moment uznał za stosowny, by kręcić mi się pod nogami. Jego postanowiłem uratować pierwszego, miękkie poduszki kocich łapek były bardzo wrażliwe. Dłonie wytarłem w bluzę, po czym złapałem kociambrę i postawiłem go na stole. Potem szybko zrzuciłem z siebie spodnie, skarpety i bluzę i poszedłem do łazienki wytrzeć się do sucha. Wracając do gabinetu – miałem dwa małe pokoje, sypialnię z szafą i gabinet, który był też pokojem gościnnym – ubrałem się w flanelową koszulę w niebieską kratkę oraz spodnie dresowe.

Gdy wszedłem do pokoju ze szmatą, Pan Zielony siedział na klawiaturze mojego komputera. Była to właściwie jedyna rzecz, za którą go karałem. Klawiatura była bezprzewodowa i łatwo ją ze stołu zrzucić, zwłaszcza potężnemu kocisku z nadwagą.

– Sio, już! – Chwyciłem leniwą bestię i przeniosłem do drugiego pokoju, zamykając za nim drzwi.

Nie minęło nawet pięć sekund, jak usłyszałem żałosne miauczenie i odgłos pazurków drapiących drzwi.

– Nie tym razem, gnido. – Tak naprawdę kociamber sobie na to nie zasłużył, bo to w końcu ja rozlałem kawę i położyłem go zbyt blisko komputera.

Na kolanach wytarłem podłogę, z żalem stwierdzając, że dywan będzie wymagał odplamiacza. To było zadanie na jutro, dziś już zbyt wiele czasu zmarnowałem – klienci nie byli wyrozumiali, gdy chodziło o opóźnienia. Z westchnięciem ponownie zasiadłem przed monitorem mojego peceta.

Najwyraźniej Pan Zielony zabawił się podczas mojej chwilowej niedyspozycji. Otwarta była inna strona o obcym i abstrakcyjnym adresie. Wyglądał na przypadkowy ciąg znaków. Już miałem ją wyłączyć, gdy mój wzrok przykuł komunikat o dość niewielkiej czcionce:

nie czytaj tego, opuść tę stronę jak najszybciej

Co prawda poszukiwałem obecnie materiału o wartości rozrywkowej, a to wyglądało na typowego straszaka, jednak było już za późno – musiałem sprawdzić, jakiego rodzaju niespodzianka mnie tu czeka. Na dziewięćdziesiąt procent obstawiałem tak zwany „jump scare", czyli coś, co po uśpieniu uwagi odbiorcy zaskakuje go treścią brutalną, obrzydliwą, głośną lub krzykliwą. A najczęściej spełniającą wszystkie powyższe kryteria naraz.

Pozostałe dziewięć procent to nieciekawy łańcuszek – one zawsze zaczynały się od tego typu słów, żeby przykuć uwagę. Powiedz komuś „nie myśl o różowym słoniu" – nie jest w stanie zrealizować polecenia bez stworzenia w głowie obrazu wielkiego, różowego ssaka. Pozostały jeden procent to wartościowa zawartość, coś ciekawego.

Zacząłem więc czytać białe litery na neutralnym, szarym tle – strona była zaprojektowana w starym stylu, jednak wygładzanie fontu było bardzo eleganckie, zgaduję, że ktoś zaprojektował to tylko po to, by przypominało lata dziewięćdziesiąte:

nie czytaj tego, opuść tę stronę jak najszybciej

jestem tu, bo mnie szukałeś
jestem głosem bez dźwięku
jestem tym, którego się bał

Próbowałem przesunąć tekst niżej, jednak niżej niczego nie było. Scroll działał, ale wciąż wyświetlały się te same słowa. Rozczarowany kliknąłem w krzyżyk, który zamknął kartę – chciałem powrócić do swoich poważnych badań, dotyczących treści niepoważnych.

Po chwili, gdy już zagłębiłem się w poszukiwaniach, przerwała mi nagle wyskakująca karta. Ponownie ta sama strona, jednak bez adresu w okienku wyszukiwarki. Zirytowany, odruchowo ją zamknąłem. Tym razem pojawiła się ponownie niemal w tym samym momencie, w którym zamknąłem kartę.

– Skurczybyk, pewnie malware.

Zanim zamknąłem, kartę poszukałem reklam lub okien towarzyszących – gdy strona złośliwie powracała, zwykle była chamską promocją jakiejś usługi. Dominowały, jak to zwykle w internetach, te o charakterze pornograficznym. Dopiero po chwili zauważyłem, że pod wcześniejszym tekstem pojawiła się nowa linijka.

nie tak szybko

Czyli jednak nie reklama, a jakiś wirus. Włączyłem program antywirusowy, po czym poszedłem do kuchni coś przekąsić – skanowanie ponad czterystu gigabajtów danych trochę zajmowało. Zdziwiło mnie, że Pan Zielony przestał miauczeć – zwykle tak szybko nie dawał za wygraną. Kiedyś, gdy nocowała u mnie koleżanka z alergią na koty, nie dał nam spać. Całą noc na przemian drapał drzwi i żałośnie płakał, chcąc koniecznie wejść do sypialni. Nie muszę mówić, że zwykle sypiał poza nią.

Uśmiechnąłem się do siebie podczas przygotowywania kanapek. Następnego dnia musiałem udać się na zakupy, w lodówce poza odrobiną wędliny, kartonem mleka i dwoma napojami energetycznymi niewiele po przygotowaniu stosiku kanapek zostało.

Z talerzem poszedłem do pokoju, usiadłem przed komputerem – znowu na górę wyskoczyła dziwna strona, znowu wzbogacona o nowy przypis.

mów do mnie, tracisz czas

Coraz bardziej przekonany, że jestem ofiarą niesmacznego żartu hakera, otworzyłem antywirusa – zawiesił się na trzech procentach. Ciężko westchnąwszy, zrobiłem to, co każdy rozsądny i doświadczony użytkownik zrobiłby na moim miejscu.

Zresetowałem komputer.

Gdy włączyłem go ponownie, zamiast normalnego ekranu startowego, moim oczom ukazał się szary ekran, identyczny z tłem strony. Po chwili pojawiły się litery, ponownie powtórzona ostatnia linijka, tym razem bez słów, które widniały wcześniej.

U dołu ekranu migał podkreślnik, znak, że mogę korzystać z klawiatury.

Tracę czas na co?

Napisałem to nie oczekując zbyt wiele, raczej z czystej frustracji niż dla uzyskania konkretnego efektu.

czas na przekonanie mnie, że jesteś godzien

Po plecach przebiegły mi ciarki, po czym szeroko uśmiechnąłem się do siebie. Niezły pomysł! Ten, kto zaprogramował tego wirusa, pewnikiem był niespełnionym autorem

horrorów. Niebawem jego oprogramowanie zostanie opisane jako „creepypasta” – straszna historyjka o genezie komputerowo-internetowej. Do moich ulubionych zdecydowanie należała seria przeróbek gry Pokemon, która miała robić wszystko, łącznie z wysysaniem duszy grającego.

Jestem godzien, żeby co?

czy jesteś godzien, żeby żyć

Kolejny raz po plecach przeszedł dreszcz. Postanowiłem trochę się zabawić, przeprowadzić swoisty test Turinga – w oryginale polegał on na zadawaniu pytań, nie mając pojęcia, czy odpisuje człowiek, czy maszyna. Testujący na koniec rozmowy, po określonej liczbie pytań, miał odgadnąć, z kim miał do czynienia. Od początku obstawiałem maszynę, sprytny program – bo któremu hakerowi chciałoby się włamywać do komputera kogoś tak nieciekawego jak ja. Nawet nie znalazłby nic, czym można by mnie szantażować – na moim elektronicznym koncie było trzysta złotych.

Kim jesteś?

jestem głosem bez dźwięku

Powtarzasz się.

tracisz

Nagle poczułem, jak w pokoju robi się chłodniej. Nie wiem, czy sprawiła to moja dzika wyobraźnia, ale w środku wiosennego wieczoru zachciałem podkręcić piec.

I co mi zrobisz?

kara na twoim najbliższym została wymierzona

Jesteś głupim botem.

Nagle zirytowany, wyłączyłem komputer głównym przyciskiem – czekała mnie wyprawa do serwisu, sam raczej sobie z tym nie poradzę. Na szczęście, poza komputerem stacjonarnym, miałem akurat w domu służbowego laptopa. Spojrzałem na talerz, nadal w połowie pełny kanapek. Niestety, nie miałem już apetytu.

Laptop był pewnie rozładowany, podłączyłem do kontaktu i poszedłem do swojego pokoju, gdzie chciałem zarzucić na ramiona bluzę lub sweter. O ubraniu zapomniałem, gdy po otwarciu drzwi do pokoju poczułem dziwny swąd spalenizny.

Na podłodze obok łóżka leżał Pan Zielony, z jego nieruchomego ciałka emanował ledwie widoczny żar. Przerażony, rzuciłem się do niego, jednak było już za późno – zwierzak nie żył.

Słyszałem o tym wcześniej, wiedziałem, że porażenie prądem jest dla kotów śmiertelnie niebezpieczne, ale nie przypuszczałem, że Pan Zielony da radę dobrać się do gniazdka. Dopiero po chwili, gdy owinąłem maluszka kocem, zrozumiałem, że teoria z elektrycznością nie miała sensu. Leżał daleko od ściany, a po podłodze nie biegł żaden kabel, który mógłby uszkodzić – sam przecież o to zadbałem. Dotknąłem listew przypodłogowych, wszystkie gładko przylegały, nie pozostawiając wątpliwości – kable pozostawały ukryte.

Podniosłem się z klęczek, nagle zauważając szczegół, który przez tragedię umknął mojej uwadze. Tuż za moimi plecami, jarząc się widmowym światłem, włączony był telewizor, który parę miesięcy temu z trudem podwiesiłem na ścianie naprzeciw łóżka.

Obróciłem się w jego kierunku, a moim oczom ukazał się jednolity, szary obraz – identyczny z tym, który wyświetlał się na ekranie komputera. W panicznym odruchu złapałem leżącego obok łóżka pilota i nacisnąłem przycisk odpowiedzialny za wyłączanie. Bezskutecznie. Na ekranie pojawił się napis.

przekonaj mnie, że jesteś godzien

Pewien tego, że baterie musiały się rozładować, przydusiłem przycisk na obudowie urządzenia, kolejny raz bez widocznego efektu. Panicznym ruchem wyrwałem wtyczkę z tylnego panelu telewizora. Obraz drgnął i zniknął.

Z sercem w samym gardle opadłem na łóżko. Było mi strasznie przykro z powodu kota, jednak przez te parę chwil całkowicie zaślepił mnie irracjonalny strach o własne życie. Ktokolwiek za tym stał, był diabelnie sprawnym informatykiem. Nie bez winy pozostawał cały biznes elektroniczny, który sprawił, że mając komputer i odpowiednie umiejętności,

można było pokierować całym domem człowieka.

Wciąż tajemnicą pozostawało to, co stało się z Panem Zielonym. Byłem pewien, że poraził go prąd, jednak ciężko było znaleźć jego źródło, nawet jeśli, jak moja Babcia, uwierzyłbym w pioruny kuliste... Sprawdziłem okno, było zamknięte.

Niespokojny, przeszedłem ponownie do gabinetu. Wziąłem łyk zimnej herbaty, zastanawiając się, co teraz zrobić.

Nie zdążyłem się skupić, gdyż usłyszałem hałas dochodzący z kuchni. Gdy wpadłem do środka, okazało się, że kakofonię spowodowało spontaniczne włączenie wszystkich przyrządów, które tam się znajdowały: czajnik zagotowywał się pomimo braku wody, mikser szalał na największych obrotach, wyciąg kuchenny bezlitośnie zasysał powietrze, a bęben pralki wirował z otwartymi drzwiczkami, gotowy w każdym momencie zalać całą kuchnie wodą.

– Korki!

Skrzynka z bezpiecznikami znajdowała się na korytarzu. Wypadłem biegiem z kuchni, już miałem wybiec na korytarz, jednak gdy tylko musnąłem dłonią klamkę, potężny szok elektryczny zwalił mnie z nóg.

Do siebie doszedłem po paru sekundach: piszczało mi w uszach, a dłoń, którą chwyciłem za klamkę, wydawała się płonąć.

Zebrałem się z ziemi i wycofałem do pokoju. Zarówno komputer stacjonarny, jak i ładujący się z boku laptop były włączone, a na szarych ekranach wyświetlał się napis:

nie uciekniesz

– Co mam zrobić? – przerażony krzyknąłem w nieokreślonym kierunku.

przekonaj mnie, że jesteś godzien

– Jestem dobrym człowiekiem, wywiązuje się ze swoich obowiązków, robię wszystko... – Nagle chwyciłem się za głowę.

Co jeśli jestem pod wpływem jakiś narkotyków? Jeśli to wszystko jest tylko psychotyczną wizją, okropnym koszmarem, nad którym straciłem panowanie? Kto normalny próbuje tłumaczyć się prześladującym go literom?

– Nie muszę cię przekonywać.

więc zginiesz

– Nie ty o tym decydujesz. – W przypływie desperacji doskoczyłem do okna. – Nie będziesz mnie szantażował, nawet jeśli będę zmuszony zejść po parapetach.

giń

Ekran stacjonarnego komputera zaczął się elektryzować, w ostatnim momencie przesunąłem się tak, że wyładowanie trafiło w dywan. Gdy zobaczyłem, że drugie nadchodzi zaraz po nim, przestawiłem nogę za okno, szukając stopą zaczepienia na elewacji budynku. Po chwili poczułem, jak trafia mnie elektryczny pocisk, po czym opadłem do tyłu, a wszystko rozmyło się w ciemności.

***

Obudziłem się w swoim łóżku, moją klatkę piersiową uciskała spora kula futrzanego tłuszczu. Raz na jakiś czas Pan Zielony lubił uciąć sobie na mnie drzemkę. Wspomnienie snu było tak żywe, że zadrżałem na samą myśl o przerażających napisach, zwiotczałym kocim ciałku spoczywającym w prześcieradle czy o gwałtownie włączających się przyrządach kuchennych. Nie wiedziałem, kiedy zasnąłem i jakim cudem znalazłem się w łóżku, jednak odetchnąłem z ulgą, że psychodelia się skończyła. Rzadko miewałem koszmary – rzadko cokolwiek mi się śniło.

Odruchowo sięgnąłem po pilota leżącego obok łóżka – nie miałem jeszcze ochoty wstawać, ale dalszy sen nie wchodził w grę. Pilot nie działał. Delikatnie odłożyłem kota na bok, po czym podszedłem do ściany, na której zawieszony był ekran.

Kabel zasilający był odłączony.

Przerażony, pobiegłem do swojego komputera, włączyłem go trzęsącymi się dłońmi. Przez najdłuższe trzy sekundy mojego życia, zanim odpalił się mój system operacyjny, na ekranie, na dobrze znanym mi szarym tle, wyświetlał się napis:

nie dałeś się kontrolować
jesteś godzien

SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty ○ drabble ○ recenzje
newsy ○ konkursy ○ forum

Krótko. Na temat. CZYTAJ

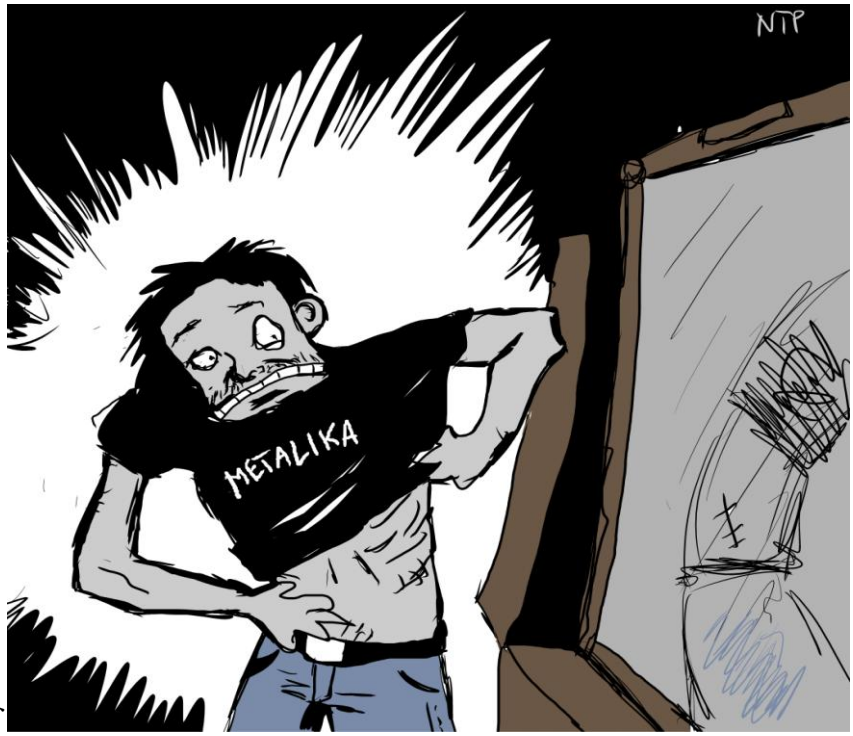

rys. Roman Panasiuk

Legitymacja

Ludwik Cyfer

Adam podnosił ciężko nogi, pokonując kolejne stopnie schodów prowadzących na przystanek tramwajowy. Był zmęczony, ale również – a może nawet bardziej – zadowolony. Tak, to uczucie dawno mu nie towarzyszyło, a konkretnie od miesiąca. Przez ten okres on i jego koledzy z zespołu zmagali się z twórczą niemocą. Praca nad nowymi kawałkami szła im równie dobrze, co próba awansu na mundial przez reprezentację Polski. Nie wiedzieć czemu, po prostu nic nie przychodziło im do głowy. A konkretnie jemu. To on – jako gitarzysta – odpowiadał za wymyślanie riffów, które stanowiły fundament pod każdy utwór. Później wystarczyło tylko podzielić wszystko na równą liczbę taktów, dodać intrygujące przejście, aby kawałek nie był zbyt monotonny, oraz niezbyt skomplikowaną solówkę, która stanowiła bardziej łącznik między zwrotką a refrenem, niż była próbą indywidualnych popisów technicznych gitarzysty.

W głowie Adama przez krótki czas kiełkowała bardzo zła myśl, aby odejść z zespołu, a nawet całkowicie wycofać się z muzykowania. Sprzedać gitarę, nie umieszczać więcej

ogłoszeń typu „muzyk szuka zespołu” i wypełnić ten czas czymś bardziej pożytecznym. Dosyć marzeń o koncertach, wydanej płycie, nagrodach na festiwalach. Czas spojrzeć prawdzie w oczy. Jednak w głębi serca wiedział, że zrobić tego nie może, bo wtedy jego życie będzie jeszcze bardziej bezwartościowe niż dotychczas, bo pozbawi się jakiejkolwiek formy ucieczki od szarej rzeczywistości.

Zła passa skończyła się jednak i znów wracał z próby pełen nadziei i artystycznego spełnienia. Dwa nowe pomysły na całkiem chwytliwe kawałki, a co najważniejsze – odzyskana radość z gry i z przebywania w jednym miejscu z resztą zespołu. To całkiem niezły bilans jak na dwie godziny spędzone w dusznej salce prób, w której zepsuła się klimatyzacja.

Adam spojrzał na tablicę, na której widniał rozkład jazdy tramwajów. Następnym miał przyjechać dopiero za piętnaście minut. Nigdy nie lubił grać późnym wieczorem, a już nie cierpiał, jak próby kończyły się wtedy, gdy kursowały już tylko autobusy nocne, rozwożące pijanych imprezowiczów i kibiców piłkarskich z zacięciem do głośnego śpiewania.

Usiadł, podpierając się jedną ręką o futerał, drugą zaś szukając w kieszeni kostki. Po chwili poszukiwań bawił się już nią, nerwowo obracając między palcami. Choć do kalendarzowego lata pozostawało tylko kilka dni, wieczory wciąż bywały chłodnawe. Długa flanelowa koszula w kratę, wystająca spod skórzanej kurtki, przydała się. Tak samo jak staremu żulowi obok puszka po piwie, którą wyciągnął ze śmietnika. Z długą brodą przypominał nieco krasnoluda, tyle że w wersji miejskiej. Jeszcze kilka innych osób stało na przystanku w oczekiwaniu na tramwaj.

Adam zaczął wodzić wzrokiem po chodniku. Nic ciekawszego nie miał do roboty, po tym jak zorientował się, że zapomniał słuchawek z domu. A miał ochotę na odrobinę post punka w drodze do mieszkania. *To the centre of the city where all roads meet, waiting for you*. Zaczął odruchowo wybijać rytm nogą, gdy wyobraźnia odgrywała kolejne dźwięki.

Przestał, gdy zobaczył mały, plastikowy przedmiot o kształcie prostokąta. Nieco przybliżył się do niego i dostrzegł zdjęcie młodej kobiety. Całkiem ładnej, młodej dziewczyny. Był to jakiś dokument. Spojrzał w lewo, spojrzał w prawo, by sprawdzić, czy tylko on go zauważył. Kiedy upewnił się, że ludzie są zajęci wyglądaniem za niewidocznym tramwajem, sięgnął ręką po plastikowy dokument.

Była to legitymacja studencka Anny Walczak, wystawiona przez Uniwersytet Warszawski. Pierwszy rok, na co wskazywały dwie naklejki z hologramem, znajdujące się na drugiej stronie. Dziewczyna miała bardzo ładne, duże niebieskie oczy, które przykuwały uwagę. Włosy koloru blond, kończące się na wysokości podbródka. Wyglądały, jakby

niedawno zostały obcięte. Może tuż przed wizytą u fotografa. Smukły nos, ozdobiony kilkoma piegami, podkreślał jej dziewczęcy wygląd.

Adam zaczął zastanawiać się, co mogła studiować. Ciężko było to stwierdzić na podstawie zdjęcia, ale pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy, to filologia polska. Dlaczego? Nie wiedział. Może dlatego, że wydawał mu się to kierunek dla ułożonych, spokojnych dziewczyn, pochodzących z dobrych domów, w których użycie słowa „kurde" uchodziło za wysoce niestosowne i było usprawiedliwiane tylko w stanach najwyższego wzburzenia.

Kiedy usłyszał dźwięk ostatnich otwierających się drzwi tramwajowych, szybko schował legitymację do kieszeni, chwycił futerał i pobiegł zająć miejsce na samym tyle.

Dwadzieścia minut później stał na ciemnej klatce schodowej przed drzwiami swojego mieszkania, próbując znaleźć klucze. Po wypowiedzeniu kilku przekleństw pod nosem, udało mu się. Otwierał bardzo delikatnie drzwi, żeby nie obudzić matki, która wstawała codziennie do pracy o piątej trzydzieści. Będąc już w środku, postawił przy ścianie futerał i zaczął zdejmować buty. Nie zapalił światła w przedpokoju, żeby nie narazić się na gniew swojej rodzicielki. Wszystko szło zgodnie planem, gdy nagle pokrowiec na gitarę zsunął się i spadł na podłogę.

Adam zmrużył oczy i czekał na sugestywne westchnienia z dużego pokoju. Te jednak nie nadeszły, więc chwycił tylko futerał i wszedł z nim do swoich piętnastu metrów kwadratowych. Zrezygnował z kolacji, gdyż wiązało się to z pójściem do kuchni i skrzypiącą podłogą. Zadowolił się połową Snickersa i resztkami Mountain Dew, które zostały mu po próbie. Położył się na łóżku, odpalił empetrójkę, na której miał nagraną całą płytę Joy Division „Unknown Pleasures" i zaczął powoli odpływać w krainę snu przy dźwiękach piosenki „Shadowplay", przyglądając się zdjęciu Anny Walczak.

Obudził się rano, gdy promienie słoneczne skutecznie przebiły się przez dziurawe żaluzje i przypuściły atak na jego twarz. Otworzył oczy, a na jego twarzy pojawił się grymas. Czuł się połamany i taki wczorajszy. Zasnął w ubraniu. Nie cierpiał tego równie mocno jak oddechu swojego psa, który jakimś cudem otworzył sobie drzwi do pokoju i wdrapał się na łóżko. Chciał poleżeć sobie chwilę obok pana, przy okazji obśliniając mu poduszkę.

Adam z trudem usiadł i jeszcze z większym trudem otworzył usta, żeby odchrząknąć flegmę, która zebrała się w trakcie nocy w jego gardle. Sięgnął prawą ręką pod łóżko, licząc, że znajdzie butelkę wody. Butelkę, owszem, znalazł, ale pustą. Prawie jak jego portfel, z którego wygrzebał kilka dwudziestogroszówek. Ze wstępnych obliczeń wyszło, że budżet

pozwalał mu na kupno ciastka o wdzięcznej nazwie „wiśnia po szwajcarsku" i kartonu półtłustego mleka do kawy.

Gdy wracał ze sklepu, zadzwonił do niego najlepszy i najgorszy zarazem – bo jedyny – przyjaciel, Rysiek. Po tym jak skończyli rozmawiać o zbliżającym się koncercie Metalliki na Stadionie Narodowym, temat nagle zszedł na znalezioną przez Adama legitymację, o której istnieniu przypomniał sobie dopiero teraz.

– A ładna jest? – spytał od razu Rysiek, a w jego głosie słychać było podniecenie.

– Całkiem – odpowiedział Adam z udawaną obojętnością, nie chcąc, żeby jego przyjaciel sugerował mu różne dziwne rzeczy. Niestety, zadziałało tu prawo niezamierzonych konsekwencji i oschła odpowiedź tylko rozbudziła wyobraźnię Ryśka.

– Ty to masz szczęście, stary.

– Czemu? – zapytał ze zdziwieniem Adam, jednocześnie uśmiechając się sztucznie do sąsiadki, która szła z naprzeciwka.

– Jak to czemu? Tak się właśnie zaczynają znajomości na długie lata – powiedział rozmarzonym głosem Rysiek, jakby to o niego chodziło.

– Jak chcesz, to mogę oddać ci jej legitymację i sam sobie do niej zarywaj.

– Ja? Ja nie potrzebuję legitymacji do tego – odparł pewnym głosem Rysiek, zapominając przez chwilę o swojej dwudziestokilogramowej nadwadze, która zepchnęła go w otchłań kompleksów i samotności.

Rozmowę skończyła krótka dyskusja dotycząca tego, jaką koszulkę wypadałoby założyć na koncert legendarnego, niegdyś thrash metalowego zespołu, i czy specjalne zakupienie koszulki okolicznościowej z napisem „Metallica: by Request WARSAW" nie będzie zbyt pozerskie, a nawet uchodzące za zachowanie godne kindermetala.

Po zjedzeniu śniadania zasiadł przed laptopem i uruchomił system operacyjny. Po wpisaniu hasła i wysłuchaniu pani, która informowała, że „baza wirusów programu Avast została zaktualizowana", odpalił przeglądarkę internetową. Zalogował się na swoją pocztę, a potem zajrzał na facebooka. Jego oczom ukazały się memy, zdjęcia „znajomych" z wakacji, sweet focie i inne gówna, które z niezrozumiałych przyczyn przeglądał codziennie. Jakby były jakimś pieprzonym elementem, zajebiście ważnym elementem w jego porannym rytuale. Obok kawy i golenia (z wyjątkiem brody, którą hodował od dłuższego czasu, by nadać sobie nieco poważniejszy wygląd). Wśród całego rynsztoku informacyjnego odnalazł perełkę w postaci konkursu, zorganizowanego przez jeden ze sklepów muzycznych. Reguły były proste. Udostępnił ich fanpage i polubił zdjęcie konkursowe. Pozostało tylko czekać na

ogłoszenie wyników i przywitanie kuriera, który przywiezie mu Epiphona Les Paula koloru czarnego.

Kursor myszki trzymał już na przycisku „wyloguj", kiedy przypomniał sobie o Annie Walczak. Przesunął kursor w lewą stronę na biały pasek wyszukiwarki i wpisał jej imię oraz nazwisko. Wyskoczyła lista kilkunastu osób. Część z nich posiadała profil bez zdjęcia. Intensywnie molestując myszkę palcem wskazującym, nagle zauważył parę niebieskich oczu i te same blond włosy z legitymacji. Chwilę się wahał, zanim wszedł na jej profil. Liczył na to, że może dowie się o niej coś więcej, ale niestety miała zastrzeżone informacje dla osób spoza listy tzw. znajomych. Wysłał jej zaproszenie, po czym napisał krótką wiadomość o następującej treści:

Hej! Czy przypadkiem czegoś wczoraj nie zgubiłaś na przystanku? ;)

Pozdrawiam,

Adam

Przez kilka sekund zastanawiał się, czy nie usunąć emotikonki, żeby nie wyjść na jakiegoś gówniarza, ale ostatecznie pozostawił ją tam, gdzie umieścił. Miał pewnie obawy, że dziewczyna może w ogóle nie przeczytać jego wiadomości, która trafi do folderu „Inne".

– Jak nie przeczyta, to będzie jej problem – powiedział sobie w myślach, choć tak naprawdę miał nadzieję, że przeczyta.

Wstał od komputera, wciąż będąc jednak zalogowanym na facebooku, i poszedł do łazienki, by skończyć poranną toaletę zwieńczoną goleniem, przy którym zaciął się pierwszy raz od kilku lat.

***

Adam wyszedł z budynku Klinki Nefrologii i Transplantologii, przystanął na chwilę przy dwóch pielęgniarkach, które wykorzystywały przerwę na wypalenie papieroska i ploteczki. Spojrzał na nie kątem oka i przez moment sam poczuł wielką ochotę, aby puścić dymka, ale zaraz potem przypomniał sobie słowa lekarza. *Musi pan teraz szczególnie dbać o zdrowie*. Jasne, że musi. Wprawdzie płuca miał zdrowe, a co najważniejsze w komplecie, to jednak wciąż czuł, że nawet kichnięcie w jego przypadku może spowodować śmierć. Szczególny przypadek pourazowej hipochondrii.

Pielęgniarki wróciły na dyżur. Adam wsadził rękę do kieszeni kurtki i nieoczekiwanie natrafił na kartkę papieru. Nie byle jaką kartkę papieru. Był to bilet na koncert Metalliki, który odbył się miesiąc temu. Podobno – Adam przeczytał w internecie – James i spółka byli

w wyśmienitej formie, prezentując wszystkie swoje szlagiery, a także nowy utwór „The Lords of Summer”. Rysiek opowiadał, że przeszły mu dreszcze, kiedy Hetfield krzyknął ze sceny: „Are you alive? How does it feel to be alive?”.

Na szczęście Adam wciąż był „alive”, ale koncertu niestety nie zobaczył. Tak samo, jak nie zobaczył pięknych, niebieskich oczu i długich włosów Anny Walczak.

Kilkanaście minut później siedział na tym samym przystanku, na którym znalazł jej legitymację. Kiedy to sobie uświadomił, przeszył go krótki, aczkolwiek intensywny ból, rozciągający się po całych plecach. Ból, o którym jeszcze nieraz będzie musiał opowiadać nie tylko w szpitalu, ale także na komisariacie, do którego właśnie jechał. Także o tym, co pamiętał przed uderzeniem w głowę, gdy przekraczał próg mieszkania dziewczyny, i po tym, jak następnego dnia obudził się w swoim łóżku, a w lustrze zobaczył zeschniętą krew i ślady po szyciu na swoich plecach.

Jego wspomnienia o bolesnych, minionych wydarzeniach przerwało dwóch młodych mężczyzn, którzy stali na przystanku i głośno rozmawiali. Jeden z nich schylił się nagle po coś. Wyprostował się ponownie, w ręku trzymając teraz przedmiot, któremu przyglądał się z zaciekawieniem.

– Ty, co to jest? – zapytał drugi, śmiejąc się głupkowato.

– Legitka jakiejś dziewczyny.

– Pokaż.

Drugi z mężczyzn przestał się śmiać, po czym odezwał się z powagą.

– Niezła dupa.

– No, dobra. Zaraz znajdę ją na fejsie – powiedział szczęśliwy znalazca i wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy.

Adamowi przed oczami pojawił się czerwony napis z kartki, którą znalazł rano przy sobie po „spotkaniu” z Anną Walczak.

Dzięki za nerkę.

rys. Roman Panasiuk

Małe dziewczynki nie są głupie

Piotr Borowiec

Czas spotkania zawsze poprzedzony był smutkiem Mamy. Jak zachmurzone niebo przed deszczem albo wydłużone cienie przed zapadnięciem zmroku, tak jej ściszony ton głosu, nieobecność, zamknięcie w sobie były nieomylnymi znakami, że Marysia niedługo będzie widzieć się z Tatą. Dziewczynka potrafiła te sygnały dostrzec, były niedołączoną częścią całego skomplikowanego procesu przygotowań. Bo trzeba przygotować się do wszystkiego, co ma nastąpić. Przed ulewą znaleźć parasolkę, przed nocą pościelić łóżko. Tylko po co ten smutek Mamy? Jakby nie można było pójść na spotkanie z jednym rodzicem bez przygnębiania tym drugiego. Każdy musiał przygotowywać to, co jest mu potrzebne. Mamie widocznie potrzebny jest smutek. Tak jest, i tyle. Nie wszystko trzeba rozumieć. Poznać prawdy podstawowe, jeden z fundamentów wiedzy o świecie.

Pieniądze, przygotowań element drugi.

– Marysiu, masz pięć złotych, wystarczy na lody. Dobrze, masz siedem.

– A od taty mogę brać trochę pieniążków?

Tomek, jeden z niewielu chłopaków w zerówce, który przejawiał ludzkie cechy, często rozmawiał z Marysią o Tacie. Jego ojciec też sobie poszedł. Zostawił go, jego mamę i braci. Tyle że on, jak się widział z synem, dawał mu bardzo dużo hajsu (Tomek uważa że „pieniążki" to mówią dziewczyny, prawdziwi faceci mówią hajs). Konstruktywne korzystnie z doświadczeń innych, kolejny fundament wiedzy o świecie.

– Nie, wszystkie pieniądze twojego ojca mam ja.

Teraz będzie element trzeci przygotowań, czyli pouczenia.

– Marysiu, słuchaj mnie bardzo uważnie. Nie wolno, powtarzam, nie wolno ci biec, jak jesteś na ulicy. Nawet jak nie ma samochodów. Gdyby... – Mama na chwilę przestaje być smutna. Robi się bardzo poważna, ale to taka groźna powaga. To jak z tymi chmurami. Czasem z tych sinych, deszczowych, robią się czarne i zamiast deszczu pada grad. Marysia boi się i tej powagi, i tej groźby. Chce jej się płakać, ale tylko troszeczkę. Mama mówi dalej:

– Gdyby coś ci się stało, ojciec ci nie pomoże. Nie można było na niego liczyć nigdy, tym bardziej teraz.

Dzwonek do drzwi zawsze oznaczał koniec przygotowań. Właśnie weszła Ciocia Agata, siostra Mamy (jednak Tomek mówi, że pani, u której mieszka teraz jego tato, też każe na siebie mówić „ciocia", a nie jest to siostra jego mamy, bo jest dużo, dużo od niej młodsza). Nie odzywają się do siebie, nie patrzą sobie w oczy. W tym milczeniu jest napięcie, jest ono jak struna, która, zbyt naprężona, może pęknąć. Tak się dzieje. Wtedy jeden z kawałków może boleśnie uderzyć w rękę. Tak się dzieje, pan, u którego uczy się grać na gitarze, mówił jej o tym.

Ciocia i Marysia wychodzą. Zanim jeszcze za nimi zamkną się drzwi, dziewczynka odwraca się, aby spojrzeć na Mamę. Ale ta już na nich nie patrzy, nie odprowadza ich wzrokiem. Jej plecy giną w mroku wejścia do piwnicy, gdzie Mama zawsze zaszywa się, gdy jej córka jest odprowadzana na spotkanie z ojcem.

Piękna pogoda, ciepło i kwitnąca wiosna wprawiają dziewczynkę w dobry nastrój. W głowie ustala już plan spaceru. Lody? Tak na pewno, ma pieniądze (nie hajs, bo to brzydkie słowo). Park i plac zabaw? Jasne. Może muzeum? Tato mówi, że tam trzeba chodzić, bo to miejsce, gdzie można dowiedzieć się wielu rzeczy. Marysia nie bardzo rozumiała jakich, jednak widok tych wszystkich dziwnych i starych przedmiotów jest sam w sobie ciekawy. I straszny, trochę. Najbardziej to trzeba się chyba bać zbroi rycerza. Posępna sterta metalu, zawsze stoi przy wejściu do sali na pierwszym piętrze. Dziewczynka

za każdym razem, gdy tam była, miała wrażenie, że ciężkie i puste w środku blachy ruszą za nią, podnosząc do góry masywny miecz. Nie, muzeum nie dzisiaj.

Tato już jest, już czeka w cieniu okazałego dębu, przy wejściu do parku. Marysia popatrzyła na swoją ciotkę. Ta zacisnęła mocno zęby, jej twarz przypomina przez to kamienną rzeźbę. Tylko że rzeźby nie płaczą, a w samych kącikach oczu kobiety pojawiły się łzy.

– Przyjdę tu za dwie godziny. Twój ojciec wie, kiedy to będzie. – Kamień przemówił zmęczonym, niechętnym wszystkiemu głosem. Dlaczego oni wszyscy są strasznie smutni?

Marysia nie jest przygnębiona, być przygnębiona nie zamierza i nie będzie. Niech sobie Mama oraz Ciocia płaczą i złoszczą się na siebie, i na Tatę, i na cały świat, ona nie ma najmniejszego zamiaru (Tomek mówił, że jego mama się nie złości, ale ją „szlag trafia", jak widzi tatę Tomka. Marysia nie wie, co to znaczy „trafiać szlag", ale to pewnie kolejne brzydkie słowa tylko dla chłopaków).

– Czeeeeeeeść, tatusiu! – Przytula ojca tak mocno, jak tylko potrafi. Chce nasycić się nim, nacieszyć, przesiąknąć obecnością kochanej osoby. Całuje go w policzek, zarost drapie ją w twarz. – Tato! Zawsze masz tę brodę, co kłuje! Nie możesz się ogolić? Czy w tych twoich podróżach nie możesz jakiejś golaczki sobie kupić?

– Cześć, córeczka! Mówi się golarki. Poza tym mi się zarost podoba.

Dziewczynka patrzy się na twarz ojca. Nie, wcale mu nie jest ładnie. Jak był jeszcze z Mamą, to zawsze gładko się golił. Teraz za każdym razem, gdy go widzi, jest zarośnięty.

– No córeczka, co robimy? Lody pierwsze?

Oczywiście, jak najbardziej. Idą pośpiesznie, Marysia ciągnie Tatę za rękę, no szybciej, prędzej! Stają w kolejce, przed nimi jest tylko starszy pan, od którego czuć ostry zapach wody kolońskiej zmieszany ze smrodem papierosów, oraz pani z bardzo grubym brzuchem, w którym ma dziecko (Tomek mówi, że z tymi dziećmi w brzuchu to jakaś lipa, bo kto by niby te dzieci tam włożył).

– Tatusiu, zobacz, potrafię już sama kupić lody, bo umiem liczyć. Ten pieniążek to dwa pieniążki, a ten to pięć pieniążków, a razem jest siedem. – Podtyka ojcu monety pod sam nos, niech zobaczy, niech sam przeliczy, niech wie, że jego dziecko już potrafi rachować.

– A literki, Marysiu, jak ci idzie z nauką literek?

Dziewczynka wolała rozmowę o pieniądzach i liczeniu, bo z nauką liter idzie jej bardzo słabo.

– Dobrze, Marysiu. Rozumiem twoje wymowne milczenie, moja pani. Ale przyłożysz się i następnym razem opowiesz mi, jakich literek się nauczyłaś? A teraz pójdziemy do

muzeum. Potem na plac zabaw, dobrze?

Muzeum. A jednak. Nie ma żadnych podstaw do negocjacji, aby cały czas spędzić na palcu zabaw. Co innego, gdyby umiała dużo liter. Potargować się można za to o coś innego.

– No! Jasne! – Jej entuzjazm jest trochę udawany. – Tylko że dziś pójdziemy do sali w podziemiach, tak? Tam, gdzie mówisz, że jest strasznie?

– Dobrze... dobrze... – Tato wzdycha głośno, widać, że nie chce dziś toczyć sporów z dzieckiem. Trochę szkoda. Marysia lubi się droczyć z ojcem, bo zawsze i tak wygrywa.

Idą przez park, teraz już powoli. Nie ma co się śpieszyć, dziewczynka wie, że mają dużo czasu. Musi też skończyć lody przed dojściem do muzeum. Z tego co pamiętała, to takie miejsce, gdzie dużo rzeczy nie wolno: jeść, pić, wchodzić z psami, fotografować oraz rozmawiać przez telefon. Z lodami pewnie też nie wolno.

– Tato?

– Tak, Marysiu?

– Dlaczego ty teraz nie jesz lodów? Kiedyś jak... jak jeszcze byłeś u Mamy, to jadłeś zawsze lody z nami.

– Po prostu nie mam ostatnio ochoty. – Ojciec wzrusza ramionami.

Dużo się zmieniło. Po TAMTEJ nocy nic już nie jest takie same.

– Tato?

– Słucham.

– Bo wiesz... byli u nas... u Mamy panowie policjanci. Pytali się o ciebie, kiedy mamusia ostatni raz ciebie widziała. – Dziewczynka jest prawie pewna, że nie powinna się o niektóre rzeczy pytać. Wizyta umundurowanych funkcjonariuszy sprzed kilku dni może być jedną z nich. – Tato, czego ci panowie chcieli?

– I co matka powiedziała? – W oczach ojca widać zaniepokojenie. Stara się być spokojny, pytanie zadaje głosem lekkim, ot tak, jakby pytał się o jakąś zwykłą rzecz. „Co jadłaś na śniadanie?". Albo: „Często kłócisz się z Tomkiem?". Ale to nie jest zwykła rzecz, wzrok mężczyzny potwierdza to najbardziej. Marysia wie, że nie uzyska odpowiedzi. Ani na to pytanie, ani na wiele innych, które bardzo chce zadać: o TAMTEJ nocy, złości Cioci na Mamę, podróżach ojca. O tym, co Mama robi w piwnicy. O tym, co tam ma. O Specjalnych Rzeczach z Piwnicy.

– Nie wiem, bo kazała mi iść do pokoju.

– W takim razie nie ma o czym mówić, Mario.

Przed wejściem do muzeum Tato zatrzymuje się na chwilę, studiuje uważnie kartkę na drzwiach.

– Marysiu, pamiętasz, jaki dziś jest dzień tygodnia? Bo jeśli niedziela, to wejdziemy za darmo i wystarczy ci jeszcze pieniążków na ciastko.

I nie bardzo wiadomo, czy ojciec faktycznie zapomniał, czy ją podchwytliwe pyta (Tomek mówił, że dorośli często udają, że czegoś nie wiedzą, i się pytają, aby sprawdzić, czy wiedzą to ich dzieci).

– Nie żartuj, dziś jest niedziela! – Nieważne, czy Tato faktycznie nie wiedział, czy udawał, Marysia i tak była z siebie dumna.

Idą przez sale pełne eksponatów. To trudne słowo, nie bardzo wiadomo, dlaczego stare żelazko, które wyrzuciła ostatnio Mama, jest gratem, a to stare żelazko, które tkwi w szklanej gablocie, jest eksponatem. Wypchane zwierzęta łypią na nich plastikowymi oczami, pożółkłe karty wiekowych ksiąg ociekają czarnym drukiem. Dziewczynka zatrzymuje się przy jednej z nich:

– Tatusiu, zobacz! Mamusia ma u siebie w piwnicy taką samą księgę!

Mężczyzna pochyla się nad tabliczką opisującą ekspozycję.

– Może i podobną, ale na pewno nie taką samą....

– A co to za książka?

– To... XVII-wieczna biblia. Na pewno takiej nie ma. Będziesz się o tym uczyć na religii.

Gdy schodzą na dół, Marysia kilka razy obraca się, aby sprawdzić, czy zbroja rycerza nie ruszyła na nich z ogromnym mieczem, gotowym, aby roztrzaskać im głowy. Sala w podziemiach wita ich chłodem i żółtym blaskiem elektrycznego oświetlenia. Cienie są tu dłuższe i gęściejsze. Przygniata ich cisza, grube sklepienia izolują jakiekolwiek dźwięki dochodzące z zewnątrz. Szum miasta, z jego rozgadanymi tłumami, warczącymi samochodami, to wszystko zostało na górze, za ostatnim schodkiem.

– Tatusiu, to nie jest zwykła piwnica?

– Nie, Marysiu, to średniowieczne katakumby. A w zasadzie ich część, zrekonstruowana niedawno przez konserwatorów i archeologów.

Kolejne trudne słowa. Gdyby nie one, w muzeum byłoby całkiem fajnie.

– I czym te... te... – Jak wymówić ten trudny wyraz? – Te piwnice różnią się od zwykłych?

– W katakumbach składano zmarłych. – W głosie ojca słychać coraz więcej wahania. Pewnie zaraz będzie chciał sobie pójść. A już zaczynało być bardzo interesująco. – Nie wiem, Marysiu, czy powinniśmy tu przychodzić.

I znowu to samo. Nie ma sensu pytać się dalej (Tomek mówił, że na najciekawsze

pytania, na przykład, dlaczego dziewczynki mają dziwnie tam na dole, dorośli nie chcą odpowiadać. I nie było to nic zaskakującego, bo to nie dziewczynki mają dziwnie, tylko chłopcy. Dziewczynki mają normalnie). Marysia postanawia jednak spróbować:

– A kto to są zmarli?

Smutek dopadł Tatę. Stoi nieruchomo, nie patrzy się na córkę, odwraca wzrok w kierunku wyjścia.

– Tatusiu, to jest zmarły? – Dziewczynka pokazuje chudym palcem na wnękę w ścianie, gdzie złożono pożółkłe kości. Wyglądają jak sterta patyków, nic ciekawego, z wyjątkiem czaszki. O, to jest fascynujące. Puste, czarne otwory w miejscach, gdzie zwykli ludzie mają oczy. Zęby trochę śmieszne, żółte i duże, niektórych brakuje. Zamiast nosa jest trójkątna dziura, taka jak te w drzwiach, do których wkłada się klucze, tyle że większa.

– Tak, Marysiu, to jest zmarła. Była XVI-wieczną mieszczką, tak tu jest napisane. To znaczy: mieszkała w tym mieście. – Smutek nie puszcza taty, trzyma go mocno, widać to po tym, jak spuścił trochę oczy, słychać ciężar w jego głosie.

– A ja, jak będę zmarła, to też będę taka? – Marysia ma nadzieję, że będzie tylko czaszką. Tym to jeszcze można być, ale brzydkimi patykami?

– Każdy człowiek taki będzie, ty też. Kiedyś. Mario, idziemy!

– A ty, tatusiu?

Ojciec nie odpowiada, bierze dziecko za rękę. Wychodzą. Nadgarstek, szarpnięty nieco za mocno, boli lekko. Tak tylko troszeczkę. Gdy już są na zewnątrz, długie cienie, cisza i puste oczodoły szybko stają się tylko wspomnieniem. Trochę nierealnym, jak zapamiętane ze snu obrazy, zaraz po przebudzeniu rano. Smutek też jakby sobie odszedł od Taty.

– To co, teraz na plac zabaw?

Piaskownica, gdzie czasem można znaleźć robaki, wijące się, gdy weźmie się je na rękę. Huśtawki i zjeżdżalnie, przy których dzieci ustawiają się w kolejkę (Tomek mówi, że dziewczynki mają puszczać chłopców, bo to jest kultura). Metalowe drabiny, na które łatwo wejść, ale nigdy nie wiadomo, jak zejść. Plac zabaw, chociaż dobrze znany, zawsze był miejscem tak samo fascynującym.

Marysia pozwala się huśtać, pozwala, aby ojciec pomagał jej przy wchodzeniu na zjeżdżalnie. Nie jest to konieczne, sama doskonale by sobie dawała radę. Każda jednak okazja, aby być bliżej Taty, musi być wykorzystana. Widują się przecież tak rzadko. Poza tym, on nie patrzy się już ciągle na inne kobiety, jak kiedyś. Nie rozgląda się młodymi matkami pchającymi dziecięce wózki czy studentkami uczącymi się do egzaminów. Zwraca uwagę tylko i wyłącznie na swoją córkę. Pewne rzeczy zmieniły się na lepsze po TAMTEJ

nocy.

– Tato? – Dziewczynka schodzi z huśtawki, otrzepuje piasek.

– Tak?

– Tato, kiedy ty skończysz swoje podróże?

Siadają na ławce. Koło nich zaczynają zbierać się gołębie, ptaki pewnie liczą na to, że ludzie zaczną coś jeść i rzucą okruchy.

– Marysiu, obawiam się że nieprędko. – Smutek powraca, już go słychać.

– Tato?

– Słucham.

– A to wcale nie jest tak, że ty przez te podróże nie możesz już z nami być? Mamusia mi mówiła, ale ja wiem... wiem, że to nie tak. – Oczywiście że wie. Tylko nie rozumie wszystkiego, a bardzo by chciała.

– Jest tak, jak mówisz. Mario, to wszystko musi ci kiedyś wytłumaczyć twoja matka. Jak nie będziesz już taką małą dziewczynką. I Bóg mi świadkiem, nie wiem jak, ale dopilnuję, żeby to zrobiła. – Nie, to nie jest smutek. To jest groźba, bardzo poważna, stanowcza, ale spokojna.

– Musimy już wracać. Agata pewnie już czeka. Chodźmy.

Faktycznie, ciotka już stoi w miejscu, w którym się rozstali. Nie patrzy się w ich kierunku, szuka czegoś w torebce. Dziewczynka ma wrażenie, że kobieta spostrzegła swoich bliskich, tylko udaje, że ich nie widzi. Kiedy Marysia do niej przybiega, chwyta dłoń dziewczynki. Bez słowa idą w kierunku domu.

Tam jest milczenie, matka, niepytająca się, jak było na spotkaniu z ojcem, kolacja, przygotowania do szkoły, bajka na dobranoc. Gabinet, gdzie niedawno można było spotkać Tatę, wiecznie zajętego papierami z pracy. Zamknięte wejście do piwnicy. Łazienka, w której po tym, jak poznikały męskie kosmetyki, jest więcej miejsca na półkach. Łóżko ze świeżo zmienioną pościelą. Poszewka intensywnie pachnie proszkiem i płynem do płukania, trochę szczypie w nos.

Marysia nie może zasnąć, choć powinna szybko, jutro zajęcia w zerówce zaczynają się wcześnie. Myśli o groźbie w głosie ojca, o milczeniu Cioci Agaty, o TAMTEJ nocy, o tym, że Tato nie patrzy się już na inne panie, jak są w parku. Tylko na nią. Rozmyślania przerywa dzwonek do drzwi.

Gość w niedzielny wieczór. Niebywałe.

Słychać otwierane i zamykane drzwi, kroki w przedpokoju. Kobiece głosy w salonie. Mama rozmawia z Ciocią Agatą. Niemożliwe. Marysia bardzo powoli, bardzo ostrożnie,

bardzo cicho wyczołguje się z łóżka i podchodzi do drzwi. Stara się poruszać tak, jak gepardy polujące na kozice, pokazywane w programach przyrodniczych, które kiedyś lubiła oglądać z Tatą. Przykłada głowę do drzwi, nasłuchuje.

Z początku nie potrafi wyłowić sensu i treści wypowiadanych słów. Z początku, ponieważ w pewnym momencie kobiety przestają rozmawiać, a zaczynają krzyczeć.

– Ja mam dość, rozumiesz dość! Ile, do kurwy nędzy, będziesz to ciągnąć?!

– Jak długo będzie trzeba!

– To znaczy: ile?! Ona jest małą dziewczynką, ale nie jest głupia! Zorientuje w twoich... w tym... plugastwie!

– Nie waż się tak mówić, kurwo! Bo to nie byłoby potrzebne, gdybyś mu nie dała! Jak rżnął swoje sekretarki, dziwki z agencji czy sąsiadkę, to mogłam udawać, że nie widzę. Ale jak przerżnął moją siostrę, to nie mogłam mu darować! Nie mogłam, rozumiesz! Nasza matka też by mu nie darowała. Ani jemu, ani tobie! Ciesz się, że nie jestem taka jak ona, i przynajmniej ty żyjesz!

– Jesteś tak samo obłąkana jak ona!

Plaśnięcie. Odgłos dłoni uderzającej o skórę twarzy, słyszany wyraźniej niż te wszystkie wrzaski. Cichy, a jednak dużo głośniejszy. To TAMTA noc. Teraz też jest TAMTA noc. Wtedy dziewczynka również słyszała krzyki, tylko że Mamy i Taty, a potem ten dźwięk, specyficzny i jedyny w swoim rodzaju.

Trzask zamykanych drzwi, warkot samochodu Cioci Agaty odjeżdżającego w noc. Marysia czuje ulgę, chce jej się płakać, tym razem z radości. Może wrócić do łóżka, pomyśleć. Co to znaczy że tatuś przerżnął Ciocię Agatę? Rżnąć to znaczy ciąć, piłą albo nożem, na przykład stare drzewo albo zamrożony kawałek schabu na obiad. Coś Cioci Agacie się pomyliło. Przecież to Mama przerżnęła w TAMTĄ noc Tatę (Tomek, gdy Marysia opowiedziała mu o TAMTEJ nocy, stwierdził, że ściemnia. Bo gdyby faktycznie jej mama wbiła tacie w nóż w brzuch i zakopała go w ogródku, to by przyjechała policja i wzięła ją do więzienia).

Marysia nie może zasnąć. Myśli.

Ale nic nie może wymyślić. Wychodzi z łóżka, gdy już jest bardzo późno, a przez okno wpływa do pokoju światło księżyca. Wyczołguje się z łóżka, jest gepardem. Skradając się, wychodzi z pokoju, niespiesznie, delikatnie. Idzie przez korytarz, stąpając na koniuszkach palców. Pod drzwiami pokoju Mamy przystaje, nasłuchuje. Cisza, można kontynuować podróż przez ciemność martwego domu.

Klucz do piwnicy jest ukryty w skrzynce z trupią czaszką, w której, jak mówi Mama,

jest specjalny przełącznik wyłączający wszystkie lampy w domu (według Tomka dorośli nic nie umieją porządnie schować, wszystko można znaleźć, i papierosy mamy, i gazety z gołymi paniami najstarszego brata). Marysia zamyka za sobą drzwi, włącza oświetlenie na schodach prowadzących w głąb piwnicy.

Specjalne Rzeczy z Piwnicy schowane są w skrzyni, tej stojącej obok półki z dżemami i sokiem malinowym. To takie sekretne muzeum Mamy, ma tu nawet przedmioty podobne do tych eksponatów z wystawy. No, nie wszystkie. Czarnych świec dziś tam nie widziała. Ani tabliczki z literami. Ale czaszka jest bardzo podobna, tylko że jaśniejsza, i ma wszystkie zęby. Najważniejsza jest jednak księga, bardzo ciężka, oprawiona w brązową skórę, wydzielająca dziwny, odstręczający zapach.

Marysia dopiero po bardzo długiej chwili może ją wyciągnąć, otworzyć i wolno przeglądać.

Dziewczynka nie zna jeszcze wszystkich liter. Wie jednak, jakie ważne rzeczy tu są zapisane. Mama dzięki nim robi tak, że Tato, chociaż leży zakopany w ogródku, może widywać się z córeczką. Babcia też potrafiła takie rzeczy ludziom robić, dla innych ludzi. Jak chcieli się z kimś specjalnym zobaczyć, to do Babci przychodzili i płacili za to pieniądze. Dzięki tej właśnie księdze. Marysia więc postanawia bardzo pilnie uczyć się literek. Korzystać z mądrości ksiąg, najważniejszy fundament wiedzy o świecie.

To ważne, tym bardziej, że TAMTA noc powtórzy się. Nie: może się powtórzyć, tylko powtórzy się. Dziś było blisko. Bardzo blisko. Następnym razem Mama skrzywdzi Ciocię Agatę. Tak będzie, dziewczynka to wie, nie ma pojęcia skąd, ale po prostu wie. Struna prędzej czy później pęknie. Marysia jednak już wtedy będzie przygotowana, będzie wiedzieć, jak ze starej księgi odczytać sposoby przywołania i Taty, i Cioci Agaty. A wtedy w trójkę pójdą do Mamy i każą jej wszystko Marysi wytłumaczyć, jak chce tego ojciec.

Bardzo dokładnie wytłumaczyć.

rys. Barbara Niziołł

Na polu dawnej bitwy

Marcin Tarka

Odkąd tylko ujrzałem to miejsce, zakochałem się w jego niesamowitym czarze. Niezapomniany był pierwszy raz, kiedy jechaliśmy samochodem wyboistą, kamienistą drogą od jednej zapomnianej wioski do drugiej. Za oknami samochodu falowały połacie traw, jakby żywcem wyjęte ze „Stepów akermańskich" – morza, zaburzone tylko kępami drzew i starymi zabudowaniami kołchozu na odległym horyzoncie, straszące majaczącymi na wschodzie grubymi, betonowymi kominami elektrowni jądrowej, a chwilę później – bezkresny las, którym przez trzy dni idąc, można nie napotkać nikogo żywego. Kraina, którą we władanie objęły dzikie zwierzęta i gęsta roślinność, sycąca się wilgocią podmokłego, bagnistego gruntu.

Aż trudno było mi uwierzyć, że to w takiej właśnie pięknej scenerii miejsce miała krwawa bitwa, jednak nasz przewodnik – Andriej – nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Wspominał o tym, że w niektórych miejscach wystarczy wzruszyć ziemię łopatą, by

wyciągnąć pogięty, zardzewiały odłamek, kawałek drutu kolczastego albo garść kulek szrapnelowych. Mówił także, że jeszcze dwadzieścia lat temu nie sposób było wyciąć żadnego drzewa z tego lasu, tak gęsto naszpikowane były żelazem pocisków. Teraz jednak wszystkie te nieme, ponure pomniki rozlewu krwi powywracały się pod wpływem nieubłaganych sił natury, pozwalając wzrastać swoim młodszym kuzynom.

Gdy przejeżdżaliśmy wieczorem leśną drogą, wydawało mi się, że w mroku poza światłem naszych reflektorów czai się coś więcej niż tylko mali, leśni drapieżnicy. Szybko jednak wyrzuciłem z głowy tę myśl, wymawiając się zmęczeniem. To Polesie Wołyńskie, a nie tajemniczy bór pełen zmutowanych, radioaktywnych małp z Czarnobyla. To nie kraina wysokiego, smukłego pana w garniturze, tak często i chętnie ostatnio opisywanego.

Noc upłynęła spokojnie, pełna ciszy zakłócanej jedynie koncertującymi świerszczami i szumiącym w trawach wiatrem. Oglądałem z okna naszej kwatery tańczący step, zioła gięły się pod uderzeniami wichru. Widziałem, jak zwija się mgła, podnosząca się znad Bezimiennego Strumienia, toczącego leniwie wody wzdłuż ściany pobliskiego lasu. Noc w tej krainie miała pewne swoje czarowne piękno, które w moich myślach mąciło wciąż uczucie, że jest tutaj coś więcej, niż wydawać by się mogło na pierwszy rzut oka. Jednak w dzień, kiedy razem z Andriejem wyruszyliśmy na zwiedzanie okolicy, wszystkie strachy i widma wyparowały mi z głowy, pozostawiając jedynie szczere uwielbienie dla cudów natury i dla niewymownego piękna krajobrazu. Czyż w takim miejscu, gdzie rośliny i zwierzęta królują niepodzielnie, udzielając łaskawie ludziom miejsca dla ich domostw i zagród, mogłoby czaić się coś złego?

Postanowiłem spędzić tutaj trochę czasu w poszukiwaniu natchnienia. Wierzyłem, że atmosfera dawnego pola bitwy, o której wspominał Andriej, pozwoli mi stworzyć coś zupełnie wspaniałego, że dzięki temu będę mógł wznieść się na wyżyny swej sztuki. Michał, mój wieloletni asystent, podchodził do tego znacznie bardziej sceptycznie. Siedział tylko i wodził za mną oczyma, obracając na palcu obrączkę różańca, kiedy ja przechadzałem się skrajem lasu, wypalając ognistymi liniami w mojej pamięci obraz tego miejsca.

Skrycie zawsze podziwiałem jego nieugięty stoicyzm i bogobojność, której w mojej duszy zabrakło. Swoim głębokim, flegmatycznym głosem potrafił zarówno pocieszyć w trudnych chwilach, jak i doradzić w godzinie kryzysu, za co byłem mu bezgranicznie wręcz wdzięczny.

Nie upłynęła godzina, zanim ruszyliśmy dalej, zagłębiając się po chwili leśną dróżką w głąb boru. Cienie zdawały się zlewać w jedno, a prześwitujące pomiędzy liśćmi plamy nieba miały ponury odcień szarego zachmurzenia. Zapięliśmy kurtki, przygotowując się na

długi marsz przez las, jednak Andriej nieoczekiwanie zatrzymał się i wskazał palcem przed siebie. Pomiędzy drzewami coś było. Pole najeżone jaśniejącymi w półmroku jak pochodnie białymi, matowymi krzyżami, otoczone niskim murkiem z odłamków grafitowego bazaltu. Cmentarz poległych tu żołnierzy.

Ruszyłem biegiem, by jak najszybciej wejść na tę poświęconą ziemię, jak najszybciej zanurzyć się w jej pełnej powagi atmosferze. Michał i Andriej dołączyli do mnie niebawem. Ciesząc się jak dziecko chodziłem pomiędzy mogiłami, obszedłem nawet kilka razy główny pomnik, wymurowany z tego samego szarego bazaltu co mur, z wprawionym w środek potężnym krzyżem z poczerniałego ze starości drewna.

– Nie podoba mi się to miejsce. Jest... nieprzyjemne – stwierdził Michał, stając za mną.

– Bzdura – odparłem. – Spójrz na tę prostotę. Biel i szarość. Cały cmentarz jakby wyrysowany ołówkiem w nienagannej symetrii.

– Nie jest symetryczny – zauważył kwaśno. Nie zrozumiałem go w pierwszej chwili, więc wyjaśnił. – Przyjrzyj się krzyżowi. Wygląda tak, jakby ktoś próbował go wykręcić...

Faktycznie, gdy przyjrzałem się bliżej ciemnym belkom, zauważyłem, że ramiona wydają się zwracać w przeciwnym kierunku niż zostały ustawione. Pionowa bela, choć wciąż siedziała mocno w pomniku, była zniekształcona na pewnej wysokości, jakby działały na nią wielkie siły.

– Jakijś diawoł, nieczyjsta sila – stwierdził tylko Andriej na nasze pytające spojrzenia. Prostota jego słów, wypowiedzianych łamanym polskim, obudziła we mnie delikatną potrzebę opuszczenia tego miejsca. Ponadto dochodziła już pora obiadu, jednak Andriej chciał pokazać nam jeszcze jedno, ostatnie miejsce, nieco głębiej w lesie – starą redutę. Ruszyliśmy więc za nim, wierząc, że im szybciej ją zobaczymy, tym szybciej wyprowadzi nas z lasu.

Reduta okazała się pagórkiem z pozostałymi na jego szczycie rowami dawnych okopów i stanowisk. W powietrzu rozchodził się zapach żywicy i dźwięk liści poruszanych wiatrem. Stanąłem w jednym z okopów, starając się wyobrazić sobie szturmujące w moją stronę oddziały wroga, obleczone w siwe mundury, huk dział zza linii okopów i jęki konających. Zastanawiałem się, jak musiał czuć się komendant tych wojsk, patrzący na zbliżającą się falangę nieprzyjaciół, jakie myśli krążyły w jego głowie, kiedy stał tak, przyglądając się przebiegowi starcia. Czy planował odwrót? Czy obmyślał może plan śmiałej szarży, mającej odwrócić losy bitwy i wlać odwagę w serca jego żołnierzy?

– To miejsce też mi się nie podoba. – Głos Michała wyrwał mnie z zamyślenia.

– Bzdura. – Machnąłem ręką w jego stronę. – Już wiem, co chciałbym namalować. Poobserwuję jeszcze chwilę, żeby dobrze oddać całość. Potem wrócimy...

– Nie! – przerwał mi gwałtownie. – Nie słyszysz tego?

– Czego? – zdziwiłem się.

– No właśnie. – Kiwnął głową, a w jego oczach zobaczyłem autentyczne przerażenie, tak bardzo nielicujące z godnością i powagą, jaką odznaczał się dotychczas. – Wszystko umilkło. Wiatr, ptaki, drzewa... Wszystko. Mam takie uczucie, jakbyśmy już kiedyś tu byli... Prawie słyszę to „zło", o którym mówił Andriej.

Nasz przewodnik też wydawał się nieco roztrzęsiony. Stale rzucał na boki rozdygotane spojrzenia, niespokojnie pocierał o siebie dłonie. Źrenice głęboko osadzonych w rumianej, poczciwej twarzy oczu miał nienaturalnie rozszerzone.

Zrobiło mi się zimno, powietrze też wydawało się cięższe niż wtedy, kiedy wchodziliśmy na redutę. Było też zbyt ciemno jak na tę porę dnia. Przecież nie powinno być później niż godzina trzecia. O tej porze słońce zawsze stoi jeszcze wysoko, jednak zamiast w ostrym, jasnym świetle popołudnia, okolica skąpana była w ciemnościach tak charakterystycznych dla wczesnej, bezksiężycowej nocy.

Nagle też to poczułem. Coś parło w naszą stronę na przełaj przez las. Nie potrafiłem tego nazwać ani nawet zobaczyć, ale szybko poleciłem moim dwóm kompanom zejść z pagórka i kierować się w stronę wyjścia z lasu. Początkowo chciałem godnie opuścić redutę miarowym krokiem, niczym kapitan schodzący z okrętu, jednak dziwne uczucie bycia ściganym nie dało mi spokoju. Zbiegłem na drogę, potykając się kilkakrotnie o wystające sosnowe korzenie. We trzech ruszyliśmy między drzewami, czując pod stopami pulsowanie ścigającej nas niewidocznej obławy. Nie oglądając się za siebie, minęliśmy cmentarz. Błysnęło białe światło. Kątem oka dostrzegłem, że ma swoje źródło gdzieś w okolicach pomnika cmentarnego. Krzyże płonęły jak wzniesione do ataku złote włócznie.

Gdzieś po lewej stronie usłyszałem głuche gruchnięcie o ziemię czegoś, co bardzo ciężko upadło. Myślałem tylko o tym, by jak najszybciej wybiec z lasu, jak najprędzej po raz kolejny poczuć pod stopami falujące morze traw i zobaczyć na horyzoncie stare zabudowania kołchozu. Nawet jeśli był to któryś z moich towarzyszy, nie zamierzałem zatrzymywać się, by mu pomóc. Pędziła mnie naprzód głucha na rozsądek, dzika i pierwotna groza.

Wypadłem spomiędzy drzew na leśną drogę i gnany dmącym mi w plecy porywistym wiatrem pędziłem dalej, chociaż kłucie w płucach już dawało mi znać, że dużo dalej nie dobiegnę. Nagle las się skończył, wiatr ucichł niemal z sekundy na sekundę. Byłem w stepie. Jasne, błękitne niebo rozlało się nad moją głową jak ocean, na wschodnim horyzoncie

zamajaczyły mi niewyraźne grube kominy elektrowni, plujące w twarz Bogu białymi obłokami pary wodnej. Padłem na plecy i oddychałem ciężko, patrząc na wirujące ponad moją głową chmury. Nie słyszałem niczego prócz pulsowania własnej wartko płynącej krwi. Wtem gdzieś z oddali usłyszałem rozmowę i wydawało mi się, że to Michał i Andriej. Podniosłem się, ale nigdzie ich nie zobaczyłem. Gdy próbowałem ich zawołać, głos uwiązł mi w gardle, dając znać o nieprzyjemnej, gorzkiej suchości spowodowanej szybkim biegiem. Rozejrzałem się, ale nie było wokół mnie niczego, na czym mógłbym zawiesić wzrok. Zniknął bór, zniknęły drzewa na horyzoncie, przepadły gdzieś zrujnowane budynki starego kołchozu. Chmury po prostu płynęły, nie było nigdzie potężnych i tak znajomych kominów. Byłem sam pośrodku niczego, a wokół mnie falowały połacie ziół i drobne żółte kwiatki. Cienie wydłużały się z każdą chwilą, a wiatr chichotał w trawie.

Uczucie zaszczucia i strachu, chociaż znikło na chwilę, kiedy wyszedłem z lasu, teraz wróciło ze zdwojoną siłą. Szczerze nie chciałem być sam, zwłaszcza że chyba nie byłem już na tej samej równinie, w której tak mocno zakochałem się pierwszego dnia. Pomyślałem, że gdybym się cofnął, raz jeszcze przekroczył Bezimienny Strumień i stanął na skraju lasu, może udałoby mi się dostrzec jakieś punkty orientacyjne, ale powstrzymałem się. Cokolwiek przegnało nas z reduty, z pewnością wciąż tam było. Poczułem na plecach zimny dreszcz. Nie, na razie lepiej się nie cofać. Zresztą, i tak nie mogłem dostrzec niczego, poza trawiastym stepem, wszędzie wokół aż po horyzont.

Z trudem przemogłem zmęczenie i ból strudzonych biegiem kończyn, by podjąć marsz w przypadkowym kierunku. Chciałem wierzyć, że prędzej czy później uda mi się zobaczyć jakiś znajomy punkt orientacyjny, który pozwoli mi odnaleźć drogę.

Po kilkudziesięciu metrach na moim ubraniu osadziły się pyłki ziół, drobne nasionka, pajęczyny... Przyjmowałem je z wdzięcznością, uznając je za niemy, acz wyraźny dowód, że wciąż znajduję się w świecie materialnym. Jednak wciąż jedynym, co wystawało ponad ten zielony ocean, były z rzadka rosnące samotnie chude brzózki.

Szedłem na północ. Przynajmniej tyle mogłem wywnioskować, obserwując słońce zniżające się powoli po mojej lewej ręce. Chociaż uszedłem już blisko kilometr, krajobraz nie zmienił się, nie zniknęło również uczucie bycia ściganym. Przystanąłem na chwilę, by zdecydować co dalej i odetchnąć chwilę, kiedy TO zobaczyłem. Znad zieleni traw przyglądały mi się dwa małe ślepia, barwą przypominające zaschnięty na czubku butelki sos tabasco. Sparaliżował mnie strach, wciągnąłem powietrze ze świstem, jednak to, czymkolwiek to było, nie poruszyło się.

Cofnąłem się jeden ostrożny, krok, potem następny i jeszcze jeden. Wciąż nie poruszało się, przyglądało się mi spokojnie i miarowo. Chociaż większa część tułowia i głowy stwora ukryta była w zieleni, moja wyobraźnia aż nazbyt jaskrawo podpowiedziała mi jego wygląd. Przypominał coś pośredniego pomiędzy dzikiem i wielkim psem. Uśmiechał się pełną kłów paszczą i drapał ziemię ciężkimi racicami, jakby oczekując, że znów zerwę się do biegu, zapewniając mu drugą rundę emocjonującego pościgu.

Powietrze wniknęło w moje płuca ze świstem. Chciałem cofnąć się jeszcze o krok, jednak nie było mi to dane. Kapryśnym zrządzeniem losu, moja stopa zawadziła o coś, powodując mój niechybny upadek. Raz jeszcze tego dnia zobaczyłem nad sobą niebo i, wierząc, że teraz niechybnie umrę, zebrało mi się na poetyckość – przyrównałem kolor nieba do herbacianej róży.

Won stąd!

Podniosłem się na łokciach. Czy mi się nie wydawało? Czy ktoś krzyknął w mojej głowie?

Serce aż podskoczyło mi w piersi, na widok znajomych widoków, zrujnowanych murów kołchozu, lasu i Bezimiennego Strumienia tuż przy nim. Do moich uszu wsączały się jak najprzyjemniejsza muzyka odgłosy życia pobliskiej wioski i dobiegające jakby gdzieś zza odległego muru warczenie wielkiej bestii.

Ruszaj teraz, do domu!

Głos wewnątrz mnie nie tolerował sprzeciwu, czułem to wyraźnie. Na myśl przyszedł mi postawny mężczyzna z ogorzałą od słońca i wiatru twarzą i spracowanymi dłońmi, które częściej jednak mierzyły z karabinu, niż posługiwały się narzędziami rzemieślniczymi. Nie śmiałem odmówić jego wyraźnemu poleceniu, podniosłem się więc szybko i chwiejnie. Noga za nogą, powlokłem się w stronę kołchozu, by stamtąd, bitą drogą, dostać się do wioski. Tak idąc, zauważyłem, że w czasie mojej ucieczki, zawędrowałem naprawdę daleko w step – stare gospodarstwo leżało bliżej mnie niż skraj lasu i most nad Bezimiennym Strumieniem, a powinno być przecież zupełnie odwrotnie. Z drugiej strony, odległość, jaką przebyłem, była niewspółmiernie większa od dystansu dzielącego most i starą budowlę.

Strach, który pętał do tej pory moje trzewia, zelżał, a po chwili ustąpił całkowicie. Odetchnąłem głębiej idąc drogą w świetle zachodzącego słońca.

– Wszyscy święci! Jesteś! – powitał mnie Michał od progu, kiedy tylko zamknąłem za sobą drzwi naszej kwatery. – Gdzieś ty się podziewał? Szukaliśmy cię przez jakiś czas z Andriejem, ale...

– Nic mi nie jest – uciąłem słabym głosem. – Wyjaśnię ci wszystko jutro. Marzę teraz tylko o tym, żeby coś zjeść i położyć się spać...

– Uważam, że powinniśmy wyjechać – nie ustępował Michał, wskazując nasze częściowo spakowane bagaże, stojące przy drzwiach. – To jest złe miejsce. Ten las, pola, stepy... Jeśli będziemy zagłębiać się w historię tego regionu, pochłonie nas coś znacznie gorszego niż mrok lasu.

– A ty dlaczego niby jesteś tego taki pewny, co? – burknąłem, siadając do stołu. Chociaż sam przeżyłem dopiero co niesamowitą przygodę, która z pewnością miała w sobie coś nienaturalnego, wciąż nie chciałem przyjąć tego do wiadomości. Znacznie bezpieczniej czułem się w świecie faktów i realizmu.

Michał nie odpowiedział. W milczeniu usiadł na drugim krześle i nie odzywał się nawet, kiedy wstałem, by zmyć naczynia po naszym posiłku. Mruknął tylko coś niewyraźnie o udaniu się na spoczynek, ale nie odpowiedziałem mu w żaden sposób. Chciałem jeszcze w samotności przemyśleć wszystko to, co dzisiaj się wydarzyło, a do tego nie potrzebowałem asysty. Prawie do pierwszej w nocy siedziałem w kuchni, powoli wychylając wielki kufel herbaty i segregując przeżycia dnia. Pokręcony krzyż, mrok na reducie, blask na cmentarzu, wielka bestia przypominająca skrzyżowanie dzika z psem i ten głos w mojej głowie...

Kilka razy wydawało mi się, że dostrzegam jej upiornie rubinowe ślepia gdzieś w cieniu za oknem. Raz zdawało mi się też, że po drugiej stronie drogi przechodzącej przez wioskę widzę przez okno męską postać obleczoną w siwą, sukienną pelerynę, ale seria szybkich mrugnięć rozwiała i to złudzenie. Siedząc tak w kuchni, czułem się zabezpieczony przed swoimi widmami.

Wreszcie podjąłem jednak decyzję o tym, by udać się na spoczynek. Odstawiłem kufel na półkę i ruszyłem przez dom w kierunku sypialni, którą zajmowaliśmy z Michałem. Drzwi otworzyłem cicho i ostrożnie, żeby go nie obudzić...

...Całe pomieszczenie schlapane było krwią. Na poszarzałych ze starości deskach podłogi odcisnęły się prowadzące do okna ślady wielkich, szerokich racic...

Uciekaj!

Inne opowiadania Marcina Tarki znajdziecie na stronie Wydawnictwa Książkożerca: www.ksiazkozerca.pl

www.kostnica.com.pl
KOSTNICA
POŹORNIE MARTWA STREGA
HORROR THRILLER KRYMINAŁ SENSACJA FANTASTYKA
www.kostnica.com.pl
RECENZJE
OPOWIADANIA
GALERIE
NOWOŚCI
KONKURSY
FILM
KSIĄŻKA
GRA
KOMIKS

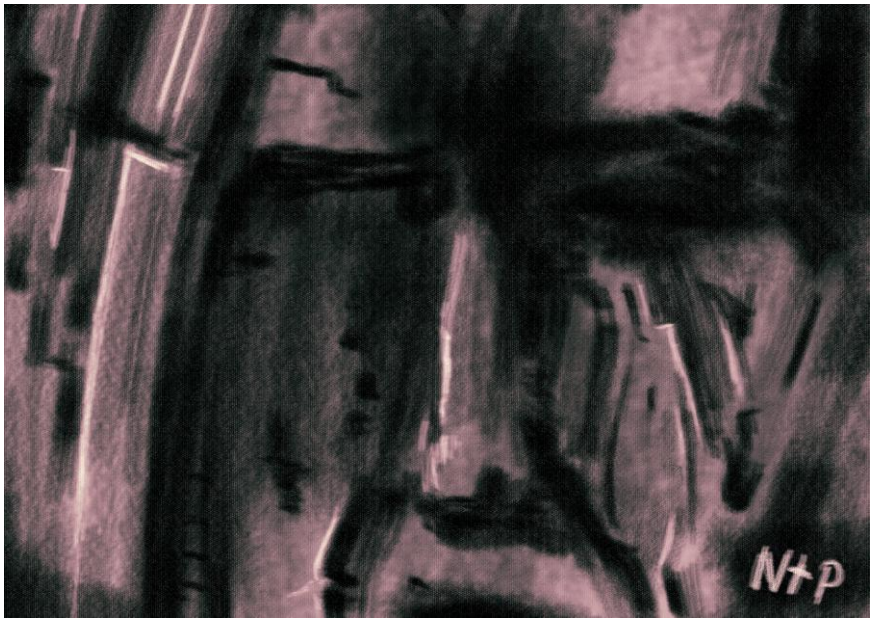

rys. Roman Panasiuk

Ordnung muss sein

Michał Wzgarda

15 lipca 1985 roku, godzina 19:30

... w mieszkaniu nie znaleziono śladów włamania. Wygląda na to, że ofiara, nieświadoma zamiarów napastnika, wpuściła go do mieszkania, po czym zamknęła drzwi od wewnątrz. Na podłodze w salonie znaleziono zwłoki nagiego mężczyzny w średnim wieku. Zgon nastąpił dwie godziny wcześniej. Opodal ciała leżały porwane, nylonowe rajstopy, którymi zabójca najprawdopodobniej udusił ofiarę w trakcie odbywania z nią stosunku seksualnego...

– Pedały jebane… – mruknął z odrazą, przerywając pisanie.

Spojrzał na zegar. Zakończył służbę pół godziny temu, jednak został dłużej, by dokończyć raport z przeszukania. Nie było to nic pilnego, tym bardziej, że na miejscu zbrodni nie znaleziono dokumentów zamordowanego. Tak czy tak, trzeba było czekać, aż któraś mało rozgarnięta żonka zorientuje się, że jej mąż za długo nie wraca do domu. Zacznie go szukać, w pracy, knajpie, u wszystkich kolegów, a dopiero na samym końcu w kostnicy. Wtedy, potwierdzając tożsamość małżonka, dowie się, że nie miał nigdy żadnych problemów z potencją, a zwyczajnie był pederastą. Komisarz mógł więc spokojnie wyjść z komendy

równo o dziewiętnastej. Nie cierpiał jednak odkładać na później czegoś, co mógł zrobić od razu. Pochylił się ponownie nad blatem.

... na podłodze w łazience znajdowały się porozrzucane różne części garderoby. Nie znaleziono natomiast żadnej bielizny. Podejrzewa się, że zabójca przed opuszczeniem mieszkania zabrał ze sobą całą brudną bieliznę należącą do ofiary. Prawdopodobnie zamierzał też ukraść telewizor marki „Rubin", który znaleziono na środku przedpokoju. Sprawcę spłoszyli funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej, zawiadomieni przez mieszkańców. Żaden z nich nigdy wcześniej nie widział ofiary. Lokal pozostawał niezamieszkany od śmieci poprzedniego właściciela.

Napisał te ostatnie zdania tak szybko, jakby od razu chciał o nich zapomnieć. Ułożył starannie dokumenty na świeżo nawoskowanym, antycznym biurku, które sprowadził z NRD, i zadowolony z siebie pancernej przesunął kaburę ze służbowym pistoletem bliżej lewego biodra. Jak w papierach, tak i w życiu komisarza Romana Bruttera wszystko musiało mieć swoje miejsce i czas. Niektórzy mówili, że jest dobrym policjantem właśnie dlatego, że zawsze postępuje według ściśle określonych reguł. Nie było miejsca na żadne zaniedbania i improwizację. Wszystko zgodnie ze sprawdzonym schematem, w myśl starego niemieckiego przysłowia: „Porządek musi być!".

***

15 lipca 1985 roku, godzina 20:15

Już otwierając drzwi do klatki schodowej słyszał donośne szczekanie Lenina. Z faktu, że komisarz milicji nazwał tak swojego psa, dumni byli wszyscy sympatyzujący z opozycją. Uważali bowiem komunistycznego dyktatora za coś dużo gorszego od psa. Za wesz albo kupę gówna. Sam Brutter jednak wymyślił to imię z zupełnie innego powodu. Ten owczarek niemiecki był według niego najmądrzejszą i jedyną istotą, która była mu ślepo posłuszna i kochała go tak, jak on kochał komunistyczne idee.

Kiedy uradowany pies zmoczył mu doszczętnie twarz szorstkim jęzorem, wstał z klęczek, otrzepał nogawki spodni od milicyjnego munduru i nadstawił ucha. Rozpoznał doskonale znaną melodię. Zanim awansował, nieraz zdarzyło mu się pałować zbuntowanych młodzików, urządzających nielegalne, uliczne demonstracje. Każda kontrrewolucja potrzebuje pieśni. Tej akurat żaden milicjant się nie bał. Kiedy studenciak oberwał gumą po nerkach, śpiewał dalej. Baranim głosem. Jednak w ustach Bruttera juniora przy

akompaniamencie gitary i śmiechów podpitych alpagą koleżków z uczelni była nie do zniesienia.

Przyjaciół nikt nie będzie mi wybierał
Wrogów poszukam sobie sam.
Dlaczego kurwa mać bez przerwy
Poucza ktoś w co wierzyć mam?

Szarpnął gwałtownie drzwi do pokoju syna i oparł się o futrynę. Powiódł wzrokiem po całym pomieszczeniu. Na jego widok zaskoczeni koledzy syna zamilkli i znieruchomieli. Brutter junior przestał grać i rzucił ojcu mordercze spojrzenie.

– Grzegorz… Możemy porozmawiać? – zapytał milicjant, siląc się na spokój.

– Czego? – rzucił gniewnie Grzegorz.

– Na osobności… – powiedział stanowczo ojciec.

Goście ulotnili się momentalnie. Wiedzieli doskonale, że ze starym nie ma żartów. Z kuchni wyjrzała zaciekawiona żona komisarza. Nie bała się. Przywykła do takich scen. Były odgrywane niemal codziennie. Pokręciła jedynie głową z rezygnacją i zamknęła drzwi. Upewniwszy się uprzednio, że studenci sobie poszli, milicjant usiadł na tapczanie i wziął głęboki wdech.

– Zapisałeś się do Solidarności. Myślałeś, że się nie dowiem? – zwrócił się do syna tonem śledczego

– A co to? Przesłuchanie? Chciałem, żebyś dowiedział się od swoich kolegów z psiarni. Żebyś się bardziej wkurwił.

– Przynosisz mi wstyd!

– Ja też muszę się wstydzić. Uważają mnie za ubeckiego szpicla, ale ja mam to w dupie. Robię swoje.

– Ja też robię swoje! Zarabiam uczciwie na chleb, a przy okazji tępię skurwysyństwo!

– Dla każdego co innego jest skurwysyństwem…

– I po cholerę tyś kończył tę swoją filozofię?! Tylko ci głupot do głowy nakładli! Ani zawodu, ani nic! Syn milicjanta w opozycji! Kto to słyszał?!

– Skończyłem filozofię po to, żeby nikt nie zdołał mi wmówić, co mam myśleć!

– Buntownik pieprzony! Myśliciel! Ciekawe, kto ci da jeść, jak mnie szlag trafi! Razem z tymi swoimi kolesiami będziesz stał w kolejce po zapomogę! Zobaczymy, kto się wtedy będzie śmiał!

– Nie strasz, nie strasz, bo się zesrasz!

Widząc, że po raz kolejny nie jest w stanie w żaden sposób wpłynąć na syna, zrezygnowany komisarz zerwał się z tapczanu i wyszedł szybkim krokiem z pokoju syna, trzaskając drzwiami dla lepszego efektu. Skoro mnie nie szanuje, to przynajmniej musi się mnie bać, pomyślał. Wściekłość całkowicie odebrała mu apetyt. Zdjął mundur i z pietyzmem powiesił go w szafie. Poczłapał do lodówki i wyjął z niej butelkę z czerwoną etykietą. Walnął setę na uspokojenie, po czym w samej bieliźnie rozłożył się wygodnie na wersalce w salonie.

Z żoną nie spał od czasu pewnej niefortunnej wymiany zdań w grudniu 1970. Siedzieli wtedy oboje przed telewizorem. Spikerka „Wiadomości" mówiła o wydarzeniach w Gdańsku i Gdyni. Dopijał akurat piąte piwo i w pewnym momencie bardzo dosadnie wyraził swoje zdanie na temat usłyszanego komunikatu. „Zamieszek się robolom zachciało! Dobrze im tak! Na przyszłość więcej zaufania do władzy!". Żona wrzasnęła wtedy, że jest dokładnie taki sami jak „ci mordercy", po czym przyniosła jego pościel z sypialni i rzuciła ją na wersalkę. Od tamtej pory nie tylko spali oddzielnie, ale przestali w ogóle rozmawiać. Odzywali się do siebie tylko wtedy, kiedy trzeba było ustalić listę zakupów. Na Wigilię razem z Grzegorzem jechała do swojej matki. Nie zamierzała spędzać świąt z „bezbożnikiem". W gruncie rzeczy to, że śpi sam, było mu na rękę. Uważał kobiety za istoty niższe, mające ułatwiać życie zapracowanym, widzącym o wiele dalej mężczyznom. Krystynę miał za ograniczoną i nierozgarniętą babę, która bez niego by zginęła. *Nazywa mnie mordercą! A prawdziwa kawa z Pewexu to jej smakuje! Pierdolona hipokrytka,* myślał. Ożenił się z nią w imię zasad. Przecież prawdziwy mężczyzna musi zdobyć zawód, znaleźć żonę, spłodzić syna, zbudować dom... A tu kicha… Syn wyrodny… Trzypokojowe mieszkanie, które odziedziczył po ojcu, było tylko pudełkiem ze ścian z tapetami, meblami i kuchennymi sprzętami. Nie można go było nazwać domem. Raczej hotelem dla trójki zupełnie obcych sobie ludzi. Żona dobra, ale głupia… Nie łączyło go z nią nic oprócz nazwiska, które przyjął, bo brzmiało jak niemieckie. Wiedział jednak, że gdyby dowiedział się, że go zdradziła, zabiłby ją.

***

Szedł środkiem chodnika, prowadząc Lenina na smyczy. Na osiedlu było zupełnie pusto. A kogo właściwie spodziewał się tu spotkać w środku nocy? Przecież dochodziła druga. Nie miał pojęcia dlaczego właśnie teraz postanowił wyjść przed blok, ale czuł, że jest tu z jakiegoś powodu. W miarę jak mijał kolejne latarnie, zmierzając w stronę nieoświetlonej górki, narastał w nim dziwny niepokój. Nagle przyszło mu do głowy, że musi być czujny.

Zaczął bacznie rozglądać się wokoło i nasłuchiwać. Minął górkę i przeszedł przez pasy na czerwonym świetle. Zielony sygnalizator był stłuczony, ale o tej porze nie miało to znaczenia, ponieważ na jezdni nie było żadnego samochodu. Szedł teraz główną parkową aleją i w dalszym ciągu nie dostrzegł niczego podejrzanego. Jak na policjanta zupełnie nie miał kondycji. Spora tusza sprawiała, że nie nadawał się na dłuższe spacery. Na szczęście minęły już czasy, kiedy musiał ganiać złodziei i chuliganów. Zmęczony przysiadł na ławce stojącej nad brzegiem sztucznego stawu i pogładził się po łysiejącej głowie. Nagle Lenin zawarczał i postawił uszy. Brutter spojrzał w kierunku, w którym patrzył pies. Za zakrętem w pobliskich krzakach coś się poruszało. Najpierw pomyślał, że to pewnie jeże szukające pożywienia, jednak te małe stworzenia wywoływałyby tylko lekki szelest liści. Tymczasem krzaki podrygiwały. Mocno i rytmicznie. Chwycił psa za obrożę i zaczął wolno zbliżać się do krzaków. Lenin warczał coraz głośniej. Do uszu komisarza zaczęły docierać dziwne pojękiwania. Kiedy schodząc z chodnika postawił prawą stopę na trawie, poczuł pod podeszwą buta coś śliskiego. Nadepnął na zużytą prezerwatywę. Momentalnie domyślił się, kto – albo raczej co – kryje się w krzakach. Zgrabnym ruchem odpiął karabińczyk smyczy.

– Lenin, bierz! – wykrzyknął.

Owczarek rzucił się na przód, rozległ się krzyk i po chwili spomiędzy krzaków wybiegł pierwszy mężczyzna. Spodnie miał opuszczone do kolan, a uciekając, zostawiał za sobą plamy krwi.

– Właśnie tak! – pochwalił psa Brutter. – Za dupę! Dobry pies!

Lenin powalił uciekającego jednym skokiem i unieruchomił go na dobre. Wszystko działo się tak szybko, że Brutter zapomniał zupełnie o drugim mężczyźnie, którego nigdzie nie było. Zupełnie jakby się rozpłynął. Zanim zdążył się zorientować, gość zaszedł go od tyłu i założył mu na głowę czarną, nylonową pończochę.

– Zgubiłeś coś, psie! – wrzasnął napastnik. – Damian, uciekaj!

Lenin widząc to rzucił się prędko w stronę swojego pana, chcąc odpędzić napastnika. W tym czasie ten nazwany Damianem zdołał się podnieść i zniknąć w ciemności. Komisarzowi udało się w końcu rozerwać pończochę. Cisnął ją ze złością na trawę.

– Goń ciotę! – krzyknął do psa.

Puścił się pędem za tekstylnym żartownisiem, który był tak szybki, że niemal zniknął już za górką. Wyglądało na to, że zmierza w stronę osiedla. Gdyby nie szczekanie Lenina, milicjant nie miałby pojęcia, w którą stronę biec. Gej zdołał dostać się na klatkę schodową, a potem do mieszkania. Komisarz zastał go leżącego na dywanie w salonie. Pies zdążył już rozpłatać mu gardło. Z jego kłów spływała jasna, dobrze natleniona krew. Mimo to

mężczyzna wciąż żył. Mało tego. Śmiał się głośno i drwiąco. Niemal histerycznie. Nagle Brutter spostrzegł, że śmieje się z niego jego własny syn. Homoseksualista miał twarz Grzegorza.

– I co, psie?! Już nawet polowanie ci nie wychodzi! – zadrwił gej. – Jesteś do niczego!

Rozległ się dźwięk telefonu. Brutter rozejrzał się po salonie kompletnie zdezorientowany

– To do ciebie, kundlu! Odbierz! No podnieś tę pierdoloną słuchawkę! Musisz się w końcu dowiedzieć! – wrzeszczał mężczyzna, dławiąc się własną krwią.

– Dowiedzieć?! – zapytał spanikowany Brutter. – Czego, do kurwy nędzy, muszę się dowiedzieć?!

***

16 lipca 1985 roku, godzina 02:10

Obudził się cały mokry od potu. Zerwał z siebie przylepioną do ciała podkoszulkę, z trudem łapiąc oddech. Serce waliło mu jak oszalałe. Dopiero po jakichś piętnastu sekundach dotarło do niego, że dzwoni telefon.

– Brutter… Słucham... – rzucił od niechcenia.

– Przepraszam, panie komisarzu, że dzwonię o tej porze, ale nasi mieli wezwanie i trafili na narkomańską melinę. Zawinęli stamtąd homosia. Prostytuował się w zamian za kompot. Jest podejrzenie, że to nasz dusiciel. Nie zawracałbym głowy, ale góra naciska, żeby go natychmiast przesłuchać.

– Dobra. Jadę.

Ubierał się bez pośpiechu. Wiedział, że musi dać swoim ludziom trochę czasu na „zmiękczenie" podejrzanego. Kiedy zapinał guziki munduru, do przedpokoju wszedł zaspany owczarek. Brutter ukląkł przed nim i zaczął go głaskać w taki sposób, jakby musiał wyjechać na co najmniej kilka tygodni.

– Piesku, jak mi się nie chce… Jak ja mam już dość tego wszystkiego… Ty jeden mnie rozumiesz… – mamrotał z rozrzewnieniem. – Tak… Nigdy mnie nie zawiodłeś… Dobry pies… Dobry…

***

16 lipca 1985 roku, godzina 05:00

Wracał jeszcze bardziej zmęczony i rozdrażniony niż przedtem. Trop był fałszywy. Facet okazał się być zwykłym ćpunem, nawet nie pedałem. Po prostu na głodzie był w stanie zrobić wszystko, byle tylko dostać działkę. Komisarz czuł się zagubiony i strasznie samotny. Naprawdę miał wszystkiego dość. Małżeństwa, pracy w milicji… Całego swojego gówno wartego życia. Wyjście było jedno. Trzeba było zalać robaka. *Wrócę do domu, przywita mnie Lenin, a potem się urżnę i sobie z nim pogadam,* pomyślał.

Kiedy otworzył drzwi, zdziwił się. Lenin nie czekał na niego w przedpokoju. Nigdy dotąd się to nie zdarzyło. Zaczął szukać psa we wszystkich pomieszczeniach, zaczynając od pokoju syna. Grzegorza nie było. Pomyślał, że syn zapewne siedzi w jakiejś piwnicy z kolesiami, drukując pieprzoną podziemną gazetkę. Psa nie było też w kuchni, łazience ani salonie.

To, co zobaczył za drzwiami sypialni, zmroziło mu krew w żyłach. Przestał myśleć. Zadziałał wyuczony mechanizm. Od pierwszego strzału zginęła żona. Od drugiego spółkujący z nią owczarek.

***

16 lipca 1985 roku godzina 06:00

... Podejrzany komisarz Roman Brutter dobrowolnie stawił się na komendzie. Zgłosił, że pozbawił życia żonę, oddając strzał z własnej służbowej broni. W mieszkaniu podejrzanego znajdowały się także zwłoki psa. W pojemniku na pościel w wersalce podejrzanego zabezpieczono również dużą ilość brudnej męskiej bielizny oraz parę damskich rajstop…

– Dlaczego pan to zrobił? – zapytał oficer dyżurny, przyjmując broń z rąk Bruttera.

– Ordnung muss sein – padła odpowiedź.

rys. Roman Panasiuk

Pamiątka z tuberkulozy

Przemysław Karbowski

Pani z rozwścieczonym tapirem na głowie wręczyła mi zestaw kartek, spośród których tak naprawdę interesowała mnie tylko jedna. Opuściłem dziekanat Katedry Chirurgii Klatki Piersiowej i klapnąłem na niewygodnej ławce, szukając rozpoznania. Znalazłem! Jest! Taka wasza mać, jest! Jak dobrze, że uczyłem się łaciny. Mości panem nie zostałem, ale łacno przetłumaczyłem na nasze „tuberculosis". Święty Jacenty, toż to szukali wszystkiego innego, a tu z wysiłków słynnych na całą okolicę krojczych wylazła gruźlica? Toż to jest jeszcze na tym łez padole takie choróbsko? Patrzcie państwo, a ja myślałem, że to jak trąd przepadło w pomroce dziejów, a okazy prątków podziwiać można tylko w stosownych muzeach medycyny.

– Ale jak? Skąd? – pytam elokwentnie panią doktor w poradni.

– Z powietrza – mówi beztrosko pani doktor, jak to powietrze mnie traktując, w końcu

jestem tu jednym z żołnierzy legionów, które obozują w ciasnym korytarzyku. – Pan wie, ile tego fruwa?

Pan nie wiedział, że fruwa w ogóle. Pan myślał, że fruwało za Słowackiego, Chopina, naszej szkapy i wuja Toma, ale nie, do cholery ciężkiej, w XXI wieku, w dobie postindustrialnej! W czasach, gdy w laboratoriach szczepionka goni szczepionkę, aż naukowcy dostają zadyszki przy hodowli chorób, które rzeczone szczepionki mają skutecznie zwalczyć. Tylko spokojnie, spokojnie…

***

Miało być spokojnie i nic z tego nie wyszło. Nie ma odwołania, szpital, skierowanie, do widzenia się z panem.

– Długo tam będę? – pytam w przychodni pana doktora wypisującego stosowny papierek.

– Nie wiem – rozbraja szczerością pan doktor i zaraz pociesza: – Pan jest dla nich łakomym kąskiem, wszystko zdiagnozowane na wysokim szczeblu, nic tylko leczyć, badać już pana nie muszą…

Świetnie, tylko co z tego wynika? Jakieś specjalne powitanie z chlebem i solą?

***

Sól i cukier to trzeba sobie we własnym zakresie sprawić. Na razie pożyczam od współpacjentów, z którymi dzielę salę – Dziadka Kajtka i Rysia. Na powitanie igła w tyłek, a właściwie trochę wyżej. Tak niby w pośladek, a jednak pod plecy. I już wiadomo, że nadzieja na wyjście prysła, jeszcze minimum pięćdziesiąt dziewięć takich strzałów, wychodzi po trzydzieści na półdupek, od piętnastego zrosty jak cholera. W niedzielę można odpuścić, ale jeśli ktoś jest przed czterdziestką, może zażyczyć sobie zastrzyki bez dnia przerwy. Że niby szybciej wyjdzie… a wyjdzie i tak, jak wypuszczą, jak przyjdą wyniki plwocin bez prątków. Co z tego, że z moim rodzajem tuberkulozy nie prątkuję, i tak z rana trzeba malowniczo splunąć do fiolki.

Wziąć szprycę w dupsko, nacharkać i hajda po zestaw tabletek, co ranek. Trzynaście tabletek do garści. Jaką trzeba mieć garść, żeby to cholerstwo nie rozsypało się na śmierdzące lizolem lastriko? Wszystko jest kwestią uchwytu… Cztery drapiące, kanciaste jak dawne tabletki na ból głowy to etambutol, te najgorzej przechodzą przez gardło, do porzygania tylko

krok, cztery rifamazidy, potężne i czerwone powlekane, pięć mniejszych, dwukolorowych pyrazynamidów... I łykać, łykać, następny! Oddziałowa pogania, od tego jest. Połknąć naraz – misja niemożliwa, na dwa razy jak się uda, zwykle trzeba na trzy. I skręca przełyk, i cofa się. Przechlapana sprawa. Ale są wybrańcy, którzy do przepisowej trzynastki mają dwa albo cztery rifamazidy, ci mają jeszcze gorzej. Procedura porannej akcji, nazywanej przez chorych „wyścigiem po cukierki", dziwnie kojarzy mi się z psychiatrykiem. Dlaczego, jak na filmach, nie dadzą nam tych plastikowych kubeczków pełnych pigułek do ręki, są wielokrotnego użytku czy ki diabeł?

– Popatrz. – Dziadek Kajtek ciągnie mnie do okna z widokiem na przyszpitalny park. – Widzisz te trawniki, te klomby? Jak dawali do łapy i nie pilnowali, czy łykasz, to tu był dywan z tych piguł. Nie było widać tłucznia na deptaku, tylko te tabletki. Jak mordą zaryłeś, bo akurat kapeć ci się rozsypał, to szorowałeś po tabletkach, nie po szutrze.

Dziadek wie, co mówi, jest tu czwarty raz w ciągu dziesięciu lat. Jak nie zdechnie, to jeszcze wróci, tak mówi. Siwy jak gołąb, zęba mu w gębie ze świecą szukać, mamla jak na braki w uzębieniu nie najgorzej i nawet nieźle wygadany jest. Dziadkiem nazywany jest i będzie, ale jak mu w historię choroby z czystej ciekawości zajrzałem, to PESEL od szóstki się zaczynał, od szóstki i siódemki… Taki to Dziadek Kajtek.

– Czyli przez takich gnoi, co zamiast się leczyć wyrzucali te tabletki, teraz musimy pod nadzorem pielęgniarek połknąć i jeszcze pysk otwierać, język wywalać, że wszystko w żołądku? – pytam retorycznie.

– Przez takich gnoi to ty tu musisz kwitnąć dwa miesiące najmniej, bo zamiast przyjść co rano z chałupy do przychodni, dostać w dupę zastrzyk i nałykać się tego gówna, woleli nawalić się i spać. Gdzieś mieli leczenie, charkali tylko na wszystkie strony, zarażali całe rodziny, prątkowali jak szaleni i skończyły się wczasy w domu. Teraz masz obowiązkowy szpital.

– Skurwysyny…

– Ja też byłem takim skurwysynem. – Dziadek śmieje się dziwnie. – Przyznaj, jakby ci ten kopiec tabletek dali do kubka i odesłali na salę, co byś zrobił? Popatrzył, otworzył okno i połowę wypierdzielił. Jeśli masz trochę oleju w głowie. Będąc patentowym dupkiem, wywaliłbyś wszystkie i tyle… Nie sądź zbyt pochopnie…

Trochę racji Dziadek ma. On i jemu podobni lata temu nie wiedzieli, że ktoś rozgarnięty połapie się, że te porozrzucane na placu medykamenty nie wyrosły tam same z siebie, tylko zostały wyrzucone przez okna, wysupłane z kieszeni piżam, w ostateczności wyplute. Tym samym załatwili siebie – weteranów – i nas – nowicjuszy, gruźliczych

żółtodziobów.

***

Ryś też jest fajny, ale bardziej irytujący niż Dziadek Kajtek. Górnik przodowy. Cały czas żre. Twierdzi, że na szpitalnym wikcie umarłby z głodu. Otoczony wędlinami, pieczywem i warzywami, tonie w nich po prostu, wszystko w zbiorczej lodówce na korytarzu nie miałoby szans się zmieścić. Ma nawet słoik ze smalcem wytopionym po domowemu. Używa słowa „tuberoza", przy czym ma na myśli nasz wspólny dopust, a nie kwiatuszek. Na widok książek, które przywiozłem z domu trochę się krzywi, ale widzi w nich moje wybawienie.

– Jak lubisz czytać, to czas ci szybciej zleci. – odkrył, cholera, Amerykę. – W szpitalu też są książki, jakbyś z tymi się uwinął.

– Jak lubisz czytać – wtrąca się Dziadek, bo tylko udaje, że śpi. – To pokumaj się z Księdzem. Ten szpakowaty z dwójki, zawsze coś tam pod pachą do czytania nosi. Tylko jest trochę… No też jest tu czwarty raz jak ja…

– No i? – Ryś dźwignął się z łóżka, patrząc na Dziadka kpiąco. – Jego porąbało, a ty jesteś normalny?

– Ja za pierwszym i drugim razem nie łykałem wszystkich prochów, a Ksiądz co do jednego. Wiesz dobrze, że to na mózgownicę siada jak ta lala. Chciał wyzdrowieć i pięknie mu choroba odpłaciła. Nie dość, że ciągle choruje, to jeszcze do łba dostał…

– Faktycznie jest księdzem? – pytam.

– Nieczynnym. Na co komu księżulo suchotnik? Żeby w konfesjonale cherlał albo przed tabernakulum?

***

Siła sugestii wielką jest. Dwa tygodnie, a ja mam wrażenie, że te leki rzeczywiście jakieś spustoszenie w mózgu sieją. Sny potwornie wyraźne, miejsca, z którymi odczuwam jakikolwiek związek emocjonalny, ludzie żywi i umarli, i upiorne wrażenie niepełnego uczestnictwa w tych wszystkich wyśnionych historiach. Niby tam jestem, a wiem, że naprawdę choruję, leczę się w placówce przeciwgruźliczej, i nie mogę pomóc wujkowi budującemu dom, tonącemu kuzynowi, płaczącej żonie…

Z Księdzem nie udało mi się nawiązać kontaktu, trochę się boję, a trochę nie chcę.

Książki czytam i wszystko zapominam po kwadransie, tylko czas mija, ale dobre i to. Za to przyzwyczaiłem się do pór posiłków. Śniadanie o ósmej, w południe obiad, o piątej kolacja. Myślałem, że to niemożliwe wytrzymać od kolacji do śniadania, ale da się, nawet nie dojadając wiktuałów zwożonych przez rodziny, jak czyni reszta pacjentów szpitala. Wszyscy żrą i palą, poza mną nie pali chyba tylko Ksiądz, w każdym razie z papierosem jeszcze go nie widziałem.

Dzisiaj, po trzech miesiącach leczenia, wychodzi Włodek, sympatyczny starszy facet. Ma rozbrajający śmiech i nienaturalnie szczerzy wtedy sztuczne zęby. Dwa lata temu zmarł nagle jego brat, ale że miał świeżo wprawioną sztuczną szczękę, Włodek nie mógł odżałować, że tyle forsy pójdzie z bratem do piachu. Jakoś tam w kostnicy wyciągnęli z ubieraczem zwłok te zęby i Włodek używa ich cały czas. Proteza nie do końca pasuje, bo i pasować nie może, ale Włodek się przyzwyczaił. Gryzie bez problemów, usta mu się trochę nie domykają i Włodek szeleści przy mówieniu, ale nic to. Będzie straszył tą szczęką na wolności, odgraża się, że już nie wróci, to jego trzeci pobyt.

– Włodek dzisiaj wychodzi, wiesz o tym? – Dziadek Kajtek dopadł mnie na spacerze. – Z weteranów zostanę sam, chyba nie ma co liczyć na jakiegoś powracającego. Boisz się trupów? Zapisałbyś się do Sonderkommando?

Zatkało mnie, zakrztusiłem się słodką śliwką. Pełno tego na drzewkach, całkiem dobre, rosną na tym rifamazidzie, który z wyrzuconych tabletek wsiąknął w glebę.

– Do czego?!

– Tak to nazywamy, nie bój się, ktoś to kiedyś wymyślił i tak zostało. Wiesz, że w drugim skrzydle szpitala jest umieralnia?

– Paliatyw…

– Jak zwał tak zwał, tam się tylko umiera, ostatnie stadium gruźlicy, ludzie z rakiem, zwożą ich tam tylko po to, żeby umarli, nikt nie wie po co… Boisz się trupów?

– Żywych się boję… Co mi może zrobić trup?

– Trup nie zawsze jest sam.

– Że co, proszę? Dziadek, o co ci chodzi?

– Włodek dzisiaj wychodzi, marne widoki na jakiegoś weterana. Teraz jest lato, znajome lumpy i biedota zaczną się zjeżdżać późną jesienią i zimą, do ciepłego, pod dach. Teraz latem leczą takich jak ty, zatrudnionych, z opłaconą składką, za których fundusz zwróci pieniądze, cacy jest, szpital funkcjonuje. Widzisz, w nocy u nas dyżuruje jedna pielęgniarka, na umieralni też. A oni umierają najczęściej w nocy. Trzeba trupa przenieść, wsadzić do bomboniery i zwieźć windą do szpitalnej kostnicy. Ty myślisz, że w nocy pielęgniarka po co

mnie wywołuje? Na seks?

– Przestań. – wzdrygam się, sam nie wiem czemu. – Co to jest bomboniera?

– Blaszana trumna na kółkach. Najgorzej takiego delikwenta tam umieścić. Pielęgniarka sama nie da rady.

– A lekarz? Przecież na paliatywie dyżuruje lekarz?

Dziadek puka się w czoło.

– Lekarz jest od stwierdzenia zgonu, nie taszczenia umrzyków. Chodzi o to, że zostaję sam. Jest jeszcze Ksiądz, ale on jak idzie do trupa, to w innym celu… Jeżeli byś się zgodził, to powiem oddziałowej, że w razie czego jesteśmy w gotowości. Komu mam zaproponować? Tym gówniarzom, co tłuką bez przerwy w te komórki i te komputerki składane? Czy tym dziadkom, co do kibla rzadko kiedy zdążą? Ryś się nie nadaje, bo twierdzi, że zmarły będzie go straszył i jeszcze mógłby na jego widok stracić apetyt. Silny jesteś, we dwóch damy radę. Pielęgniarka pomoże jakby co. Zgoda?

I co ja mam powiedzieć? Niniejszym zgadzam się jako członek szpitalnego Sonderkommando wywozić nieboszczyków bombonierą do piwnicznej kostnicy. Brzmi bardzo dobrze. Ciekawość zwyciężyła.

– Zgoda, Dziadek.

Dziadek Kajtek cieszy się i ściska mnie za rękę, jakbym wyświadczył mu nie wiadomo jaką przysługę.

– Równy z ciebie gość – padła fraza jak z dawnej literatury młodzieżowej. – Nie zdziw się, jak cię w nocy obudzę. Aha, i pogadaj z Księdzem.

***

Gdy pożegnaliśmy Włodka, dorwał mnie z kolei Ksiądz i wyciągnął na spacer. Psiakrew, najgorsze, że nie wiem, jak z nim gadać. Skoro ma coś z głową, nigdy nie wiadomo, czy na byle co dziwnie nie zareaguje.

– Podobno Dziadek pana zwerbował? Już dawno miałem z panem porozmawiać.

– Ja z Księdzem też, nie złożyło się… Dziadek poprosił mnie tylko o pomoc w transportowaniu zmarłych.

– Pewnie panu powiedzieli, że jestem nienormalny, co? Tym niech się pan nie przejmuje…

– Ja się mam przejmować? To chyba raczej Ksiądz powinien…

Pożałowałem tych słów, ale Ksiądz nie wyglądał na urażonego. Z kieszeni szlafroka

wyciągnął brulion.

– Czuje się pan jakoś szczególnie nobilitowany?

– Przepraszam, czym?

– Chorobą. Suchotami. Gruźlicą, tuberkulozą, chorobą opętanych.

No, nie będzie łatwo z tym nieczynnym duchownym. Już widać opętany…

– Może jaśniej, proszę Księdza?

– Widzi pan, czasy takie, że najbardziej nobilituje choroba, najlepiej śmiertelna, przynajmniej medialnie. Jeśli zachoruje jakaś znana osoba, to jeśli trochę się wykaraska, zaraz napisze książkę, ma pan jak w banku. W banku przed kryzysem oczywiście…

Jak na opętanego przynajmniej resztki poczucia humoru zachował. Czemu się z nim nie poprzekomarzać?

– Wiem, wiem, to coś złego? W tym pisaniu książek? Chcącemu nie dzieje się krzywda. Napisał, wydał, może nawet ktoś przeczytał? Jakiś chory, który od razu poczuł się lepiej?

– Pan się śmieje, ale największą krzywdę wyrządza się tym chorym właśnie. Bo tego pisarza stać było po prostu na drogie leczenie, a biedak bez pieniędzy umrze i tak.

– Biedak bez pieniędzy tej książki też sobie raczej nie kupi… Ale, racja, może przejrzeć w czytelni, wypożyczyć z biblioteki…

– Pan jest zawsze taki skory do żartów?

– Nie, proszę Księdza, po prostu dostaję głupawki na myśl, że dziś w nocy będę debiutował jako tragarz zwłok.

– Usiądźmy, coś panu przeczytam. – Ksiądz otworzył brulion zapisany drobnym maczkiem. – „Samo w sobie czepianie się kurczowo życia, walka za wszelką cenę z chorobą, z jej przejawami, ze świadomością nadchodzącej śmierci jest haniebnym i niegodnym człowieka sentymentalizmem. Uświadomienie sobie, że życie ludzkie nie ma żadnej wartości jako takie i w tak pojmowanym kontekście zmierzenie się ze śmiercią stanowi o harcie ducha. O ile lepiej jest postrzegać śmierć i całą otoczkę ku niej prowadzącą jako przeciwnika, przemyślnego wroga, nieprzyjaciela z przewagą. Nadanie walce z chorobą znamion heroizmu po tym, jak się ją zwalczyło, obnoszenie się ze zwycięstwem, przekonanie o nadzwyczajności przeżytych stanów, gloryfikowanie woli życia w oderwaniu od życia tego jakości jest mdłym i poniżającym teatrum. Nie ma nic gorszego jak przeświadczenie, że postawa wynikająca ze zwykłego strachu przed umieraniem może być przykładem do naśladowania, zachętą do wywrócenia wszystkich swoich przyzwyczajeń, pragnień, żądz i wyobrażeń, li tylko dla odarcia się z tego, co rzeczywiście stanowi o człowieczeństwie, czyli woli przetrwania, ale

godnej i nieskalanej tchórzostwem w obliczu śmierci i towarzyszącej jej pustki. Postawa walki z nieuchronnym końcem bez refleksji nad wartością tego, co przed końcem, tylko gwoli przetrwania za wszelką cenę nie może być uważana za wartą naśladowania". Theodor Hermes Aschenbach w traktacie „O życiu".

– Pierwsze słyszę, kiepsko to napisane albo tylko fatalnie przetłumaczone. Ewidentna bzdura stylizowana na kogo? Na niemieckiego postneomistyka? Jakiegoś ojca praprapsychologii?

– Mniejsza o formę. A treść? Pasuje jak ulał do sytuacji, o której mówiliśmy. Łatwo się wyżywać na chorobie, jak już jesteśmy zdrowi, prawda? A gdy ze strachu przed śmiercią robiliśmy w gacie, to było mało literackie, prawda?

– Robienie w gacie niezależnie od sytuacji widzi mi się mało literackie, ale mogę być w swym śmiałym sądzie odosobniony… Prawda?

– Ciężko się z panem rozmawia.

– Potraktuję to jako komplement. Co z tym Aschenbachem? Bo cytat długi, aż zęby bolą, a przekaz prosty: choroba jak choroba, nie chwal się i tak pójdziesz do ziemi, nawet jak wyzdrowiejesz, tylko później. I to takie dziwnie mało chrześcijańskie: śmierć i pustka. A gdzie w tym życie pozagrobowe? Zbawienie?

– Aschenbach nie był doktorem Kościoła, w ogóle z Kościołem miał mało wspólnego. Ale wyczuwał rzecz istotną. Bywa, że choroba to walka w człowieku jego Anioła Stróża z demonem. I sam chory, lekarstwa, terapie, niewielki mają wpływ na wyzdrowienie albo śmierć. Czytał pan „Suchotników i demony" Trindouca? Na pewno nie.

– Jakaś kolejna nieznana nikomu poza Księdzem lektura? Ma Ksiądz jakieś cytaty na pewno w tym brulionie? „Wprzód nazwij, Księże, co to jest zły duch?". Też mam w głowie parę niepotrzebnych cytatów… Chodźmy lepiej na kolację, bo nas pozbawią tej porcji masła wielkości pięciu złotych. Ksiądz spowiada, namaszcza?

Stropił się nieco i zasmucił.

– Biskup zabronił, może to i dobrze zresztą. Mam wrażenie, że z moją wiarą też różnie bywa.

– To co Ksiądz w takim razie robi przy zwłokach?

– Zdjęcia…

***

Na kolację do chleba dostaliśmy całkiem niezłą mielonkę. Po kolacji wyciągam Kajtka na korytarz:

– Dziadek, ładnie mnie wpuściłeś w kanał z tym Księdzem, czego o nim nie mówić, normalny raczej nie jest. Jeżeli dzisiaj w nocy zacznie nad trupem cykać jakieś zdjęcia, to nie ręczę za siebie. Dam mu w pysk, aż sobie seminarium wspomni.

– Ani się waż! – syczy Dziadek. – I módl się, żeby umierali w nocy, a nie w dzień.

– Módl się? Do czego?

– Choćby do ściany.

***

O drugiej w nocy Dziadek szarpie mnie za ramię.

– Wstawaj szybko, idziemy!

– Dziadek! Zapomniałem! Ja nie mam długich spodni! W końcu lato jest…

– To nie msza ani kondukt, piżama wystarczy, idziemy!

I tupiemy klapkami wśród nocnej ciszy, po schodach na parter, korytarzem, przez drzwi, schodami w górę, i już jesteśmy na oddziale paliatywnym, gdzie czeka na nas pielęgniarka. Już przewiozła trupa na łóżku do klitki z bombonierą. Ksiądz też już jest, wyprzedził nas. Na szyi dynda mu zabytkowy aparat „Smiena". Wkurzył mnie.

– Użyj tylko tego rzutnika, a łeb ci rozwalę, klecho!

– Proszę się uspokoić! Proszę uszanować majestat śmierci! – opieprza mnie pielęgniarka. – Kto to jest?

– Nowy – tłumaczy Dziadek. – Już dobrze, uspokój się! Łap go.

Owijamy nieboszczyka w czyste prześcieradło i do bomboniery. Nie czuję lęku ani obrzydzenia, choć trup mocno śmierdzi. Jestem tylko nieźle wnerwiony na wszystkich. Wszyscy są w zmowie, Ksiądz, Dziadek, pielęgniarka, czy już naprawdę oszalałem raptem po stu pięćdziesięciu sześciu tabletkach?

Do windy, do piwnicy, do kostnicy, do szuflady. Bombonierę do klitki i z powrotem na przeciwgruźliczy. Powoli idziemy i mój gniew też powoli ustępuje. W końcu postawiłem na swoim.

– Wystarczyło, żebym Księdzu pogroził, i już zdjęcia nie były konieczne? Miło mi.

– Zrobiłem zdjęcie zanim przyszliście – mówi spokojnie. – W ostatniej chwili.

Gniew ustąpił na tyle, że nie jestem w stanie mu przywalić.

***

Do rana nikt nie umarł.

– Nie mamy o czym rozmawiać – mówię do Dziadka, który przysiadł się do mnie w parku, zakłócając lekturę. – Jak ten palant będzie przy kolejnym umarlaku, to ja rezygnuję. Co to ma być? Szykuje wystawę post mortem? Postrzelony awangardowy fotograf? A może sprzedaje te zdjęcia jakimś zboczeńcom, którzy się nad nimi brandzlują?

– Nie masz prawa tak mówić! Nie wiesz, ilu ludzi on uratował.

– Świetnie, zapewne przed demonami. Sam mówiłeś, że dostał do głowy. Przekaż ode mnie ukłony, tylko niech mi w drogę nie wchodzi.

– Żebyś wiedział, pieprzony niedowiarku! Tylko ja, ja, moja sprawa, moja racja! Prosiłem cię, żebyś z nim pogadał. Źle zrobiłem, teraz proszę cię, żebyś go posłuchał. Czas ci przynajmniej zleci.

– Jedyny argument. Niech ci będzie. Dam mu jutro godzinę. Godzinę mojego zasranego cennego czasu w tym cholernym szpitalu!

***

Nikt nie umarł, ani w dzień, ani w nocy, ale do południa przywieziono trzech murowanych kandydatów do rychłego zejścia. W nocy może być trochę roboty.

– Proszę. – Robię Księdzu miejsce na mojej ulubionej ławce w kącie parku. – Ksiądz mówi, ja słucham. Chyba że nie wytrzymam i zadam pytanie.

– Postęp jest. Ostatnio chciał mnie pan policzkować.

– Niech mnie Ksiądz nie wodzi na pokuszenie. Proszę mówić.

– Trindouc w „Suchotnikach i demonach" zebrał spory materiał, na podstawie którego wywodzi, że gruźlica może być formą opętania. Można się z tego śmiać i ja też się śmiałem. Podaje przykłady, hm, badaczy, którzy snuli teorie, dlaczego demon atakuje płuca, a nie na przykład wątrobę czy nerki. W budowie anatomicznej anioła z płucami powiązane są skrzydła, takie rysunki zostawił po sobie Watzke, uczeń Paracelsusa. Zasada zależności podobna jak u ptaka, płuca i worki powietrzne ułatwiają latanie. Z punktu widzenia ludzkiej anatomii niby absurd, wiem. Pan się już śmieje?

– Anioł nie jest czasem duchem, czystą inteligencją? Nie śmieję się z Watzkego, bo

musiałbym się śmiać i z Arystotelesa, i z Kartezjusza, nie o to chodzi.

– Ale z obcowania aniołów z ziemskimi kobietami zrodziły się olbrzymy. Są anioły będące duchami i te obdarzone cielesnością, albo inaczej, mogące przybierać cielesną postać.

– Wytłumaczenie niewąskie, nie wiedziałem, że na teologii poważnie traktuje się Księgę Henocha. Niech Ksiądz mówi dalej.

– Nie będę pana zanudzał szczegółami. Książka Trindouca to prawie siedemset stron. Pan włada francuskim?

– Podobnie jak sanskrytem i chińskim. Wcale. Nie myśli Ksiądz chyba, że jak przeczytam, to automatycznie uwierzę? Jeśli mam w płucu niewielkiego guza, to znaczy, że zagnieździł się tam niewielki demon? Ci wszyscy snujący się tu gruźlicy hodują swojego demona? I, jak w filmie „Egzorcysta", demon opuszcza ich, gdy umierają? No, to tak hollywoodzko to wszystko wygląda. Gratuluję. Dużo tych demonów poniewiera się po świecie, ale jakoś poczułem tę nobilitację, o której Ksiądz mówił ostatnio. Zostałem wybrany!

– Miał pan słuchać, ale pan tego po prostu nie umie. Streszczę się. Jestem tu czwarty raz w ciągu ośmiu lat. Mam udokumentowanych jedenaście przypadków nagłych śmierci, głównie samobójczych, bądź na takie wyglądających, następujących bezpośrednio po zgonach pacjentów na paliatywie. Z zaawansowaną gruźlicą bądź rakiem płuc, bo innych tu nie zwożą. Jeden lekarz, dwie pielęgniarki, salowa, palacz z kotłowni i sześć osób odwiedzających leżących tu chorych. Różnie to wyglądało, wtargnięcie pod pociąg, tira, aż cztery powieszenia, otrucia. Przez osiem lat to strasznie dużo, choć oczywiście, nie w każdym gruźliku siedzi demon. Może mieć dostęp tylko do takiego opuszczonego przez anioła.

– To pocieszające. Ktoś to powiązał poza Księdzem, wkraczała policja, prokurator? Może chociaż spece od egzorcyzmów? Był Ksiądz z tym u biskupa?

– Byłem. Wyśmiał mnie.

– Pięknych czasów dożyłem. Wysokiej rangi duchowny ostoją zdrowego rozsądku… Tylko jak się do tego mają te zdjęcia, które ksiądz robi trupom?

Ksiądz otworzył brulion i zaczął przerzucać kartki.

– Albert Wielki w „Paradisus animae" twierdzi, że demon opuszcza opętane ludzkie ciało w pierwszą godzinę po zgonie. Mało tego, uważa, że demona można wtedy zniewolić, po prostu złapać. Jak gdyby miał w sobie cząstkę materii czy czegoś quasimaterialnego.

– To już herezja. I takie głupoty wypisywał Albert Wielki?

– W sumie to raczej apokryf… Demon, który wychodzi ze zmarłego, może wniknąć w człowieka niebędącego w stanie łaski, inaczej opuszczonego przez Anioła Stróża. Słyszał pan pewnie, że ciało zmarłego jest po śmierci nieco lżejsze?

– Tak, legenda ludowa, zrzuciłbym to jednak na karb jakiegoś pośmiertnego pierdnięcia. Ksiądz naprawdę zmusza mnie, abym sięgnął najgłębszych pokładów mojego cynizmu. Bo jako bystry człowiek domyślam się już, że Ksiądz po prostu fotografuje demony.

– Dokładnie tak.

– I tym sposobem nie wyszliśmy nawet poza ten cholerny Hollywood. Od „Egzorcysty" przeszliśmy płynnie do filmu „Omen". Nie widzi Ksiądz, że to jednak trochę groteskowe?

– W sobotę przyjedzie mój brat ze zdjęciami z dwóch tygodni przed pańskim przybyciem. Pooglądamy, pogadamy. Chce pan przejrzeć ten zeszyt?

– A wie Ksiądz, że się skuszę?

***

W sobotę na deser wypada jogurt, co jest małym świętem. Miła odmiana od twardych jak kamień herbatników i suchych jak wióry biszkoptów. Rodzinie zabroniłem przyjeżdżać, jak już mi braknie gaci na zmianę, to poproszę o przyjazd i wymianę. Przepustki nie dostałem i w weekend będę tu kwitł i przeglądał ten śmieszny brulion. Pomieszanie materii straszne. Albert Wielki i jakieś pociotki Paracelsusa, okultyści z Bytomia i święty Justyn, w sam raz lektura po łyknięciu trzynastu magicznych tabletek. Co ciekawsze kawałki z Luisa Trindouca, speca od demonów i gruźlików. Niejaki Hugon Parzyszek wypisywał, że dzięki gruźlicy mieliśmy w sztuce romantyzm, bo wszyscy chorowali, zatem byli opętani, duchy, boginki i diabliki widzieli, toteż bies nimi zawładnął. Podaje przykład Chopina, któremu demony skakały po fortepianie. Śmiałby się człowiek, gdyby był wesoły. A do śmiechu nie jest wcale. Tyłek boli, wątroba też się zaczyna buntować przez ilość łykanych prochów, czerwone szczyny po rifamazidzie. w ciągu trzech dób jeden zmarły w nocy. Pozwoliłem Księdzu zrobić zdjęcie, srał go pies. Cyknął ruską „Smieną", wybrał sobie sprzęt na demony…

– Już pojechał szanowny brat? – pytam Księdza, bo właśnie przybiegł z szarą kopertą.

– Owszem. Poczytał pan?

– Taa… Same ciekawostki. Zwłaszcza ten sposób łapania demona za pomocą gruszki do lewatywy. Tego się nawet komentować nie chce.

– Może to pan skomentuje? – Podaje mi kopertę.

Machinalnie przeglądam zdjęcia. Osiem fotografii, w większości osoby starsze, pokonane przez kostuchę. Kto wie, ile musieli wycierpieć? Po twarzach widać, że niemało. Nic niezwykłego, tylko przygnębiające. Inna sprawa to mieć nadzieję, że już się nie męczą.

– A to co? – na ostatnim zdjęciu młody facet z aureolą. Wielką aureolą, czarną jak smoła.

– Ciekawe, prawda? Uprzedzę pana pytanie, zdjęcie nie jest retuszowane. I, proszę mi wierzyć, on tak nie wyglądał, gdy robiłem zdjęcie.

– Powiedzmy, że wierzę. Ksiądz musi używać tego sowieckiego wynalazku? A może cyfrówką dałoby się złapać demona?

– Może. – Ksiądz wyciąga zapałki i podpala zdjęcia. – Nie próbowałem, nie wiem, jak miałbym wtedy zniszczyć demona.

– A klisze?

– Brat pali w domu.

Niech mi ktoś powie, że od tych leków nie oszalałem. Najlepszy dowód, że już mam nierówno pod sufitem, to okoliczność prowadzenia tej rozmowy.

– Zamykamy demona w zdjęciu jak diabła w pudełku, jak dżina w butelce… Podpalamy i już. Ksiądz musi jechać z tym do papieża, strasznie fajne zajęcie. Łowca demonów. A co z tymi, którzy umrą w dzień? Przecież Księdza do nich nie dopuszczą.

– Jak są lekarze to raczej nie, ale siostry z paliatywu przecież doskonale wiedzą co się święci, w przeciwieństwie do gwiazd z naszego oddziału. Zwykle zdążą mnie zawołać, jeśli nie, mogę jeszcze wkraść się do kostnicy. Jasne, że nie zdążę do wszystkich, zwłaszcza jak przerób jest naprawdę duży. Trzeba wtedy modlić się o to, aby zmarły nie był opętany. Nic się wtedy nie stanie. Nie jest również powiedziane, że demon wychodząc z opętanego od razu wejdzie w kolejną osobę i to będącą blisko. Ale przez osiem lat jedenaście razy się zdarzyło. Jeździłem po kraju i powiem panu, że odsetek samobójstw personelu w szpitalach przeciwgruźliczych jest nienaturalnie wysoki. Na końcu brulionu powinna być jakaś statystyka.

– Przecież Ksiądz nie jest tu na stałe. Poprawi się Księdzu, to Ksiądz wyjdzie.

Spojrzał mi w oczy niezbyt przyjemnie.

– Ja jestem zdrowy. Wyleczyli mnie za pierwszym razem z zamkniętej gruźlicy węzłów chłonnych śródpiersia. Ze znajomym lekarzem fałszuję dokumentację i wracam tutaj, i wracał będę. Nie mogę tych ludzi zostawić. Już nie.

– Oszalałeś…

– Rzekłeś…

***

– Ten jest lekki, nie ma nóg – mówi Dziadek. – Zrobił Ksiądz zdjęcie? Chwytamy. Jezus Maria!

Nieboszczyk rzuca Dziadkiem o ścianę, siostra przeraźliwie krzyczy, mi włosy stają dęba.

– Trzymaj go! Trzymaj! – wrzeszczy Ksiądz. – Nie chce wyjść! Woda święcona! Gdzie jest woda święcona?!

Beznogi nieboszczyk łapie mnie za gardło i przysuwa się do mojej twarzy. Trupia woń jest nie do wytrzymania. Mdleję ze strachu. Budzę się zlany potem. Jestem spocony dwa razy bardziej niż zwykle. Do potu gruźlika dołączył pot śmiertelnego przerażenia.

– Jaka woda święcona? – zaśmiewa się do łez Ryś. – Strasznie chrapałeś, musiałem ci pod nos podetknąć słoik ze smalcem. A potem zacząłeś się drzeć. Psychika siada od tego noszenia umrzyków, co?

Muszę wziąć prysznic.

– Zjełczał ci ten smalec, kretynie. Śmierdzi. Trupem.

***

Kolejne dwa tygodnie mijają leniwie. Sny przybierają na sile, tak już widać po tych lekach musi być. A jutro będę na półmetku zastrzyków, niewielkie pocieszenie, bo w zależności od wyników na koniec mogą wlepić dziesięć dodatkowych, gdyby coś było nie tak. Przez te dni na osiem trupów tylko jedna opętana kobieta w średnim wieku. Mało i dużo. Z Księdzem zdarza mi się rozmawiać zupełnie poważnie. Trzysta dziewięćdziesiąt tabletek zrobiło swoje. Prawie trzydzieści zastrzyków też.

– Jeśli te osoby są opętane, to przecież pójdą prosto do piekła, mam rację?

– Takie jest zadanie demona, doprowadzić ich do śmierci i zgubić ich duszę. Ale jeśli uda nam się go uwięzić i zniszczyć, nici z szatańskiego planu. Duszę można jeszcze uratować. Dlatego najbardziej się boję, że nie zdążę do zmarłego, w którym tkwił demon. Do ilu nie zdążyłem, nie wiem, i boję się nawet o tym myśleć.

– Przecież księża z miejscowej parafii udzielają ostatniego namaszczenia. Część zwożonych na paliatyw na pewno została namaszczona w domu. Czy to coś daje?

– Chciałbym wierzyć, że tak, ale po pierwsze, nie wszystkim go udzielono, po drugie, mówiłem już panu, że moja wiara się trochę zmieniła. Gdyby mi ktoś w seminarium

powiedział, że demon może być w jakiejś części materialny, że można go uwięzić poprzez złapanie jego formy na kliszy, dodatkowo podjąć próbę unicestwienia go? Zapałkami? Pewnie prześwięciłbym kropidłem takiego heretyka i bluźniercę. Nieszczęśnika, który podważa sens ostatniego namaszczenia, też chciałbym nawrócić. A teraz już nie…

***

Z Rysiem chyba nie jest dobrze. Wyniki prątków dodatnie, na rentgenie płuca całe w dziurach. Najpierw leczyli go na pylicę, potem okazało się, że jednak gruźlica. Ale żreć nie przestaje.

– Muszę się najeść, żeby nie było wam za lekko, jak mnie będziecie do bomboniery wkładać – śmieje się w sposób trochę wymuszony.

– Do bomboniery to jeszcze daleka droga – pociesza Rysia Dziadek.

***

– Kto jeszcze jest wtajemniczony w tę Księdza… misję? Oprócz pielęgniarek z paliatywu?

– Dziadek, pan… Kilku byłych pacjentów z Sonderkommando. Włodek na przykład.

– O personel pytam.

– Raczej nikt. Ordynator dziwi się zawsze, że przecież byłem zdrowy, a znowu wracam. Ale co mu do tego? I tak podniosę statystykę wyleczonych, bo wychodzę zdrowy. Za kilka miesięcy znowu spróbuję się tu dostać.

– I łyka Ksiądz te wszystkie prochy? Bierze zastrzyki?

Uśmiecha się.

– Tabletki staram się zwymiotować, na zastrzyki nic nie poradzę.

– Wraca Ksiądz do domu… Kto wtedy łapie demony?

– Wtedy nikt. – Ksiądz zaciska zęby. – Wtedy tylko się modlę.

***

Czterdziesty piąty zastrzyk, pięćset osiemdziesiąta piąta tabletka, na szpitalnym wikcie przytyłem pięć kilo, chyba te zupy mleczne na śniadanie robią swoje. Byłem w sobotę na mało oficjalnej przepustce, ot, zatrajlowałem ordynatora, że przecież nie prątkuję, że nie piję alkoholu, że jestem odpowiedzialny i wieczorem wrócę. Nie przyłapał mnie nigdy z piwskiem, może uwierzył i puścił do domu. Przy lekach przeciwgruźliczych alkohol absolutnie niewskazany, tak tłumaczą. Ale któryś lekarz wygadał się kiedyś, że rifamazid puszcza po ośmiu godzinach. No i większość pacjentów ma na piętnastą nastawione budziki i komórki, lecą do parku i odwijają te puszki z gazet, ręczników, ubrań. Piją.

– Myślał Ksiądz, żeby spróbować polaroida? Mniej pieprzenia się z kliszami, wywoływaniem…

– Nie.

Szybko zwariowałem przy Księdzu. Za szybko.

***

Znowu trafił się nam opętany. Starszy facet zniszczony chorobą tak, że wyglądał na ofiarę obozu koncentracyjnego. Ksiądz pozwolił mi osobiście spalić jego zdjęcie. Smolista aureola nie pozwalała dostrzec na fotografii rysów twarzy, właściwie zacieniła ją całkowicie.

Rysiowi przepisali te bonusowe dziesięć zastrzyków, na zachwyconego nie wyglądał, ale bratanek przywiózł mu walizę żarcia, tak że nieco się rozpromienił. Dziadek ma wyjść w przyszłym tygodniu, prawdopodobnie zostaniemy z Księdzem sami.

– Byłem u oddziałowej – mówi Ksiądz zaglądając do kosza na śmieci, czy aby wszystkie zdjęcia obróciły się w popiół. – Pozwoliła mi zerknąć na listę potencjalnych pacjentów. Jest jeden weteran, Stefan, zwany Lulusiem. Dziwne, że ma tu zawitać latem, ale przyda nam się. Ostatecznie będę robił zdjęcia i przenosił zmarłych, gdyby Luluś tu nie dotarł.

– Lump, biedota?

– Przeważnie zajmował się wysypywaniem węgla z pociągów, które hamują na zakręcie. Więc to raczej zwykły, bezrobotny złoczyńca.

***

Jeszcze tylko pięć zastrzyków i dobrze, bo już nie ma gdzie kłuć. Dupa jest jednym wielkim zrostem. W wątrobę uderzyło już siedemset piętnaście tabletek. Kto ma gorzej? Dupa czy wątroba? Chyba jednak ja…

Ryś był u ordynatora i stracił się gdzieś przed kolacją. Jak wyszliśmy na wieczorny spacer, to wisiał na śliwie na kablu antenowym. Dziadek pobiegł zaalarmować Księdza, niech z okna zrobi zdjęcie, tak żeby nikt nie widział, potem będzie za późno. Zaciskam pięści, bo wiem, że chyba nie upilnowaliśmy dziś zmarłego opętanego, ale nic do nas nie doszło.

– Ordynator powiedział mu, że o kopalni może zapomnieć w jego stanie. Że już nie wróci pod ziemię – mówi któryś z pacjentów, patrzących, jak pielęgniarki wiozą odciętego Rysia, którego nie udało się uratować. – Zaczął się odgrażać, że wróci.

– No i wróci. – Obracam się na pięcie.

***

– Umarła kobieta około drugiej w nocy, ale nie połapali się. Dopiero rano. – Ksiądz jest zbyt roztrzęsiony jak na łowcę demonów. – Mówiłem panu, a pan nie wierzył!

– Dalej nie wierzę, obawiam się jednak, że muszę się zachowywać tak, jakbym wierzył. Rozumie Ksiądz?

– Tak.

***

Dziadek jutro wychodzi, ale ze spustoszeniem, jakie ma w płucach, wróci tu na pewno. Trafił się nam ostatni wspólny nieboszczyk do preludium ostatniej drogi z przystankiem w kostnicy. O trzeciej nad ranem.

Ksiądz zrobił zdjęcie i wymamrotał modlitwę chyba tylko z obowiązku, bo jego wiara, jak mówił, zmieniła się. Wydaje mu się, że jest zdrowy, że go wyleczyli, ale tak na pewno nie jest. Jest bardziej chory niż Dziadek, bardziej niż był Ryś. Mam wyjść w przyszłym tygodniu, Ksiądz też. Obaj wiemy, że musimy tu wrócić, że jeden z nas musi tu być jako młot na demony, które siedzą w płucach i nie pozwalają umierającym rozwinąć skrzydeł, by wzlecieli do Pana. Jedziemy windą z nieboszczykiem i mamy nad nim przewagę, żyjemy. Żyjemy z naszymi demonami, tymi, z którymi tu przyszliśmy, i tymi, które wykluły się z kopy

zastrzyków i prawie tysiąca tabletek. W domu przez pół roku mam jeszcze łykać rifamazid. I dobrze, i tak będę myślał tylko o tym, jak tu wrócić. Ja – asystent łowcy demonów, starszy szpitalnego Sonderkommando, nieustraszony tragarz zwłok. Bo poza szpitalem będę zwykłym szarym podwładnym tego czy tamtego szefa takiej czy innej firmy. Tu, z chwilą, gdy pielęgniarka wrzuci do foliowego worka mokrą od agonalnego potu pościel, ja przyoblekę zmarłego w prześcieradło najczystsze i uwolnię jego i świat od kolejnego złego ducha.

Ja będę dobrym duchem.

Amen.

rys. Roman Panasiuk

Przesmyk

Antoni Nowakowski

Charcząc i jęcząc z wysiłku, wyrwał z gruzowiska kolejną cegłę. Potem następną, za kilka minut trzecią. Sterta porannego urobku, ułożona wzdłuż chybotliwej, grożącej zawaleniem ściany, znowu urosła.

Ręce krwawiły, więc wytarł je o tunikę. Pamiętał, że tak ją nazywano, kiedy nakładał owo skąpe odzienie, szykując się do tego długotrwałego snu. Gdy się z niego przebudził, szata nadal lśniła blaskiem nieskazitelnej bieli, ale teraz przypominała już łachman, usmolony i postrzępiony, ledwo okrywający wychudłe ciało.

Skóra dłoni powoli zaczynała grubieć, mięśnie tężały, jednak zmiany zachodziły rozpaczliwie powoli. Poranione dłonie sprawiały dokuczliwy ból, ale nie mógł czekać, aż głębokie otarcia się zabliźnią. Jeżeli chciał się wydostać na zewnątrz, musiał, bez względu na otępiające znużenie, drążyć przesmyk. Szczury stawały się coraz bardziej natrętne. I coraz bardziej zuchwałe.

Sądził, że na zewnątrz rozległej i wysokiej sali słońce już wzeszło, bo niedawno się obudził. Starał się zachować dobowy rytm życia i dużo spać, dobrze rozumiejąc, że jest zbyt wycieńczony, żeby pozwolić sobie na szafowanie wątłymi siłami. Miał jeszcze pewność w innej sprawie – dająca blask i ciepło gwiazda na pewno nadal istniała. Jej promienie

przenikały do środka przez kilka niewielkich otworów pod sklepieniem, a po dłuższym czasie zanikały – gdy na zewnątrz, tam, gdzie rozpaczliwie pragnął dotrzeć, zapadała noc. Wtedy i on układał się w swoim potężnym sarkofagu – i w końcu zasypiał.

Każdego z kolejnych niby-dni sen ogarniał jego zmęczone ciało coraz szybciej i łatwiej, prawie niepostrzeżenie. Często odpoczywał, bo coś, co określał dniem, oznaczało jednocześnie morderczy wysiłek. Pracę ponad siły dla niego, człowieka niedawno wybudzonego przez automaty z hibernacji. Jednostajny mozół, z każdym wydartym złomowisku kamieniem i prętem wysysający wątły zasób energii z wynędzniałego, pozbawionego nawet grama tłuszczu ciała.

Zasypiając zawsze myślał tylko o jednym, a rano sprawdzał, czy jego pragnienie się ziściło. Miał nadzieję, że odskoczy któraś z przezroczystych pokryw kilkunastu wielkich, metalowych pojemników – komór kriogenicznych. Pojawi się towarzysz, zdolny pomóc mu w drążeniu przesmyku – wyjścia na wolność. Ktoś, kto dołączy do niego w torowaniu drogi ucieczki z tej rozległej hali, w niezrozumiały i niepojęty sposób przemienionej w podziemną kryptę.

Dobrze też wiedział, co powie, kiedy kolejny przywrócony do życia człowiek oprzytomnieje i trochę dojdzie do siebie. Te słowa układał sobie w głowie, kiedy obluzowywał kolejny głaz.

Przekaże, żeby nowy więzień tonącej w ciemności hali niczemu się nie dziwił. Podkreśli, że tak naprawdę tutaj nie istnieją dzień i noc – wszystko wypełnia półmrok, przez krótki czas ledwie rozświetlany wąskimi strumyczkami światła i szybko przechodzący w całkowitą ciemność. Powie jeszcze, że ściany dawnej hali nadal trwają niewzruszone w swojej spoistości – już to sprawdził. Z uśmiechem wspomni, żeby przed chwilą obudzony człowiek nie dziwił się girlandom pajęczyn, kurzowi, stęchliźnie, strumyczkowi wody, monotonnie i ospale ciurkającemu ze sklepienia. Tę brudną ciecz, pełną robaków i dziwnych żyjątek, powinien błogosławić, bo pozwalała utrzymać się przy życiu. Żeby nie dziwił się opasłym szczurom, podchodzącym coraz bliżej, jedynym oprócz nich istotom w tej wysokiej niczym dawna katedra sali, tylko na nie uważał – i zawsze, kładąc się na spoczynek, zamykał wieko.

Z naciskiem zaznaczy, żeby pomógł mu w drążeniu przesmyku, wąskiego tuneliku, jedynej drogi do wolności. Do wydostania się na światło dnia – i do zrozumienia, cóż się wydarzyło podczas ich wieloletniego snu w komorach kriogenicznych. Wielkich skrzyniach, poufale nazywanych sarkofagami przez wybierających ten sposób ozdrowienia pacjentów. Z uśmiechem nadmieni, że pewnie wskutek jakiejś awarii okres hibernacji trwał dziwnie

długo, a w tym czasie coś diametralnie się zmieniło. Jednakże w końcu się obudzili – i jeżeli stąd nie wyjdą, zginą. Zaatakują ich wielkie szczurzyska. Powie jeszcze coś najważniejszego: nie wiadomo, czy ten wąski chodnik w masie cegieł i kamieni, zawalających dawny korytarz wejściowy wyprowadzi ich na wolność. Jest jednak jedyną szansą uwolnienia – i jedyną drogą ucieczki przed nieuchronnym pożarciem przez zwierzęcych sąsiadów.

Człowiek, ubrany w niegdyś biały, prosty strój bez rękawów, niesięgający kolan, westchnął ciężko. O takiej rozmowie myślał codziennie. Układał sobie zdania, szukał w pamięci potrzebnych słów, wydobywał je z mroku nieużywania – i niepamięci.

Rankiem, kiedy wreszcie promienie słońca przebiły się przez wąskie dziury w sklepieniu, zawsze sprawdzał sarkofagi. Stały w długim szeregu, czarne już niczym katafalki od prawie skamieniałego kurzu, popstrzone szczurzymi odchodami. Dobrze pamiętał, że kiedy dawno temu wchodził do sali, błyszczały śnieżną bielą. Nadal jednak każdą z potężnych komór otaczał liczny zespół metalowych walców, sześcianów i prostopadłościanów: agregatów pomocniczych, automatów sterujących, zbiorników regeneracyjnych. Przypomniał już sobie te nazwy. Pamiętał, że te urządzenia posiadały kluczowe znaczenie dla procesu niezakłóconego, ozdrowieńczego letargu, przypominającego śmierć – i miały działać przez niewyobrażalnie długi czas. Tak twierdzili uśmiechnięci lekarze i inżynierowie.

Przechodził obok sarkofagów zaraz po południu. Tę porę dnia w podziemnej krypcie określał na podstawie siły promieni słonecznych – wtedy świeciły najjaśniej. Sam dla siebie przechadzkę nazywał „spacerem". Później układał się do drzemki w swojej komorze, nigdy nie zapominając zamknąć przezroczystego wieka i sprawdzić, czy ranty nakrycia dobrze weszły w wyżłobienia korpusu komory kriogenicznej.

Większość z tych ciemnych brył ziała już pustką, a odchylone pokrywy pokrył gruby całun brudu. Niekiedy w środku harcowały szczury, jakby czegoś szukając. Jednakże prawie tuzina sarkofagów nie naruszył ząb czasu... tak samo jak ludzi, leżących w środku, nadal pogrążonych we śnie. Lubił się im przyglądać, szczupłym postaciom z wyrazem wiecznego zamyślenia na twarzach, leżących w bezruchu, spowitych gęstwą przewodów i rurek, często zakończonych wbitymi w ich ciała igłami. Niekiedy przezroczyste podajniki pulsowały nagle zmieniającą się barwą, wyraźnie widoczną mimo otuliny pyłu. Coś chyba dostarczały – a więc nadal działały, podtrzymując letarg.

Czasem kawałkiem pękniętej cegły, mimo tego, że przenikliwy zamróz pokrywy prawie parzył zimnem dłonie, wydrapywał linie w grubej warstwie kurzu okrywającej wieka. Znaki układały się w dziwne reliefy – i zastanawiał się, jak zostaną one odczytane, kiedy

któraś z tych postaci się zbudzi. Nie sądził, żeby szkodził nieznanym towarzyszom – uważał, żeby nie dotknąć niczego istotnego.

Na pewno agregaty przy tych sarkofagach nadal pracowały – nie dostrzegał oznak rozkładu ciał. Postacie trwały, czekając na swój czas, chwilę przebudzenia, a właściwie zmartwychwstania do nowego życia.

Człowiek w brudnym okryciu przypominającym tunikę potrząsnął głową – rozmyślania zabierały czas, a jego czekała otępiająca praca, zawsze ta sama.

Sprawdził umieszczenie grudy materii, czule nazywanej przez niego „lampeczką". Znalazł ją parę godzin po odzyskaniu przytomności i wydostaniu się z sarkofagu, w dozowniku z odchyloną pokrywą – stwardniałą bryłę jakiejś substancji, pewnie odżywki, świecącej w ciemności. Mocno fosforyzowała. Od razu zacisnął na niej pięść, a teraz towarzyszyła mu wszędzie. Dbał o nią, przed pracą przemyśliwał, gdzie ją położy, żeby nie została przypadkiem zgnieciona. Sprawdzał, czy leży wraz z nim w sarkofagu. Umożliwiała pracę w ciemności przesmyku, gdzie już nie docierał żaden promień słońca. Porowata pecyna nieznanej substancji okazała się równie ważna jak brudna woda, cieknąca z sufitu, i zwietrzałe odżywki, jedyne źródło pożywienia. Niekiedy łapał się na tym, że czule przemawia do swojej dziwnej latarki, jakby niespodziewanie pojawił się przy nim milczący przyjaciel.

Rzucił okiem na stertę cegieł: wyglądała już naprawdę pokaźnie. Przynajmniej część dzisiejszego urobku powinien przenieść do sali, żeby swobodnie poruszać się w wydzieranym zwałowisku przesmyku.

Miał nadzieję, że wyprowadzi go do wolności. Do dziennego światła, powietrza nieprzesyconego kurzem, stęchlizną i odorem opasłych cielsk szczurów. Do świata, opuszczonego dawno, kiedy sam, bez niczyjej pomocy, ułożył się w jednym z tych metalowych grobowców czasu.

***

Krwawiącymi palcami otarł pot z czoła. Zmęczył się, przy ostatnich przenoszonych kamieniach znowu charczał z wysiłku. Wiedział, że powinien coś zjeść i odpocząć, jeżeli kołaczące serce ma wytrzymać następne dni mordęgi.

Dwa szczury, wyrośnięte niczym tęgie kocury, wynurzyły się zza pryzmy gruzu i bez pośpiechu pomaszerowały w stronę jednego z sarkofagów. Słabo już widocznego – mrok się pogłębiał. Patrzył na nie z uwagą, bo one na pewno wydostawały się na zewnątrz – nie mogło

być inaczej. Imponowały tuszą i wielkością, a w krypcie nie znajdywały dość pożywienia. Miały swoje własne przesmyki i swobodnie nimi wędrowały, a halę komór kriogenicznych wykorzystywały jako bezpieczne legowisko. Tak jak zawsze, szybko zniknęły w narastającym cieniu, jak duchy... Przyczaiły się teraz gdzieś w ukryciu, gotowe do skoku.

Westchnął ciężko, przysiadł na pryzmie urobku i splunął na kamienie.

Tutaj wszystko się mieszało – dzień z nocą, nikłe światło z ciemnością, wątła nadzieja na ocalenie z przepełniającą duszę rozpaczą. Wyraziście istniało tylko to rozlegle pomieszczenie, z niewielkimi otworami w sklepieniu, przepuszczającymi strumyczki dziennego blasku i ciurkającą z jednego miejsca wodą, tworzącą kałużę na posadzce.

Szczury też chłeptały z wgłębienia w kamiennych flizach, nie zwracając na niego uwagi. Nawet nie musiał racjonować zanieczyszczonej piaskiem i ziemią cieczy, pełnej dziwnie wyglądających żyjątek – mógł pić do syta. Sądził, że wijące się brudnej wodzie niewielkie robaki stanowią cenne uzupełnienie odżywek, więc starannie rozgryzał śliskie żyjątka, niektóre całkiem pokaźne. Początkowo zbierało mu się na wymioty, potem jednak z satysfakcją zauważył, że się przyzwyczaił. Teraz zaczynały mu nawet smakować.

Wyszarpnął z gruzowiska jeszcze jeden kamień. Wyciąganie odłamków głazów szło znacznie łatwiej – najczęściej miały obły kształt, ułatwiający zadanie. Kawałek skały wywołał małą lawinę – posypały się cegły, belki, grube teowniki i pręty. Wcale nie miał zamiaru oczyścić całego zasypanego korytarza – za każdym krokiem odsłaniał kolejny odcinek stropu i tworzył wąski chodnik o szerokości niewiele większej niż jego barki. Dobrze pamiętał, że właśnie tym jedynym korytarzem, oświetlonym blaskiem wielu lamp, w asyście kilkunastu osób wchodził do sali z sarkofagami.

Metalowa powała trzymała się mocno, napawając go dziwną otuchą. Miał pewność, że nic nie zleci mu na głowę i nie roztrzaska czaszki.

Przysiadł na chwilę, żeby odpocząć. Zebrać siły, żeby powlec się do swojego legowiska, przeżuć kolejną odżywkę. Zżuć koncentrat, wyjęty z agregatu z odchylonym wiekiem, prawie już skamieniały ze starości, czasami rozsypujący się w proch – takie zlizywał. Potem zapaść w drzemkę, pełną niespokojnych majaków, widząc obserwujące go uważnie ślepia szczurów, a po przebudzeniu wrócić do mozolnej harówy w mroku, kurzu i pyle.

W tym wszystkim liczyło się tylko jedno – przesmyk się wydłużał.

***

Lubił chwile południowej drzemki. Teraz też wygodnie wyciągnął nogi i z wysiłkiem zamknął przezroczyste wieko. Trzasnęło, wchodząc w wyżłobienia korpusu.

Kilka szczurów, tak jak zwykle, szybko zgromadziło się przy komorze kriogenicznej, a trzech zuchwalców zgrabnie wspięło się na pokrywę. Jeden z nich wsadził czubek nosa w otwór po oderwanym przewodzie, a jego zęby zachrzęściły na grubej powłoce nakrycia. Po chwili drugi zaczął pracować przy innej dziurze.

Wieko jednak trwało nienaruszone, nawet nie zarysowane, jak chroniący ciało gruby kirys.

Nie zwracał uwagi na ich wysiłki, choć wiedział, że sprawdzają wytrzymałość materiału – pokrywa nadal stawiała skuteczny opór zakusom czerwonookich zwierzaków. Dobrze rozumiał, o co im chodzi – chciały go zeżreć, pewnie we śnie, a przynajmniej spróbować, jak smakuje. Nie przejmował się tym, bo, jak na razie, masywne nakrycie stanowiło zaporę nie do przebycia. Kiedyś pewnie szczurzyska poszerzą otwory – ciągle nad tym pracowały – i skoczą na niego, sądził jednak, że przedtem zdąży wydrążyć przesmyk. Gdyby doprowadził go do ślepego zaułka kamiennej ściany, i tak miał zamiar się zabić. Rozwalić sobie odłamkiem cegły czaszkę albo którymś z kawałków szkła, które niekiedy znajdował, podciąć sobie żyły. Kilka już odłożył.

O wiele bardziej interesował się odżywkami. Pozwalały utrzymać się przy życiu. Sporo ich znajdował w licznych agregatach, otaczających puste już komory. Dostęp nie sprawiał trudności – pokrywy łatwo ustępowały. Przypuszczał, że w chwili wybudzenia pacjenta z letargu jakiś system sterujący zwalniał niepotrzebne już blokady i zabezpieczenia. Odskakiwały wtedy przewody, łączące wieko z innymi maszynami opiekuńczymi, bo wijące się pęki rur nadal leżały na posadce. Dzięki niepokaźnym otworom w wieku mógł oddychać, kiedy zasypiał wewnątrz potężnej komory.

Wiele dozowników nosiło ślady szczurzych zębów, jednak większość przetrwała nienaruszona – najwidoczniej zawartość nie smakowała stadu, bytującemu w wypełnionej półmrokiem hali, teraz już krypcie. Potężne szczurzyska żywiły się czymś innym, a teraz najwyraźniej miały chęć na niego. Kiedy o tym myślał, zawsze czuł przypływ energii – i z większą zaciekłością wyszarpywał gruzowisku wąskie przejście.

Postać w brudnej i podartej tunice westchnęła ciężko. Przebudzony nie wiedział, czy dotrze do jakiegoś wyjścia, zanim jego zwierzęcy towarzysze sforsują wieko. Nie miał nawet pewności, czy w ogóle takie istnieje. Wiedział tylko, że musi próbować.

Zasypiając, słyszał jeszcze zgrzyty szczurzych szczęk, szarpiących nakryciem skrzyni. Widział czerwonawe ogniki ślepi, wpatrujących się w niego uważnie.

***

Następnego dnia dotarł do kamiennej ściany, litej, przypominającej skałę, nie do pokonania – i po długiej chwili bezradności i zwątpienia, przechodzącego w rozpacz, ogarnęła go euforia radości.

Szybko zrozumiał, dlaczego napotkał nieprzebytą przegrodę. Drążył przesmyk po skosie, nieznacznym, ale jednak odchylającym się od osi korytarza. Teraz ściana, przed którą długo stał z pustką w mózgu, stanie się przewodnikiem w tej czeluści, gdzie się znajdował. Praca powinna iść sprawniej – jeden bok przesmyku był już gotowy. Równie prędko sprawdził, że jego morderczy wysiłek przynosi teraz lepszy efekt. Szparko wydzierał zwalisku kolejne cegły, kamienie i belki. Chcąc złapać oddech, z przyjemnością opierał plecy o kamienny mur, ociekający wilgocią. Ten chłodny dotyk, przeszywający dreszczem wynędzniałe ciało, odbierał jak przyjacielskie muśnięcie, niemal jak pieszczotę milczącego sojusznika.

Pracował intensywniej, więc częściej odpoczywał. Wydłużał też drzemki.

Przy sarkofagu gromadziło się wtedy coraz więcej szczurów. Zauważył, że zaczynają ze sobą współpracować – teraz już kilkanaście wgryzało się w otwory, znajdujące się na wysokości jego twarzy. Jedna z dziur nieco się poszerzyła.

Nie przejmował się tym – przepełniała go dziwna wiara, że znajduje się już blisko wyjścia. Pamiętał ten korytarz, kiedy wchodził w towarzystwie lekarzy i pielęgniarek do hali kriogenicznej. Przemierzył go szybko, choć wcale się nie spieszył. Wyjście na świat, rozświetlony słońcem, musiało znajdować się niedaleko.

Wygodnie wyciągnął się w sarkofagu. Z wątłych mięśni krwawiących rąk powoli odpływało znużenie.

Chrobot ostrych zębów wplótł się w jednostajne ciurkanie wody ze sklepienia.

– Gryźcie sobie – mruknął pod nosem. – Nie utuczycie się na mnie. Niebawem zobaczę słońce, a wy, parszywcy, zostaniecie w tym grobowym mroku i kurzu.

***

Coraz częściej myślał, dlaczego obudził się pod ziemią, w ciszy, przerywanej tylko uderzeniami kropel wody o posadzkę i piskami szczurów – i nie pojmował, co się stało.

Sądził, że automaty we właściwym czasie przerwały okres letargu. Miał trwać długo, a nawet bardzo długo. Nigdy nie dopytywał się, kiedy otworzy oczy i przekona się, że opracowano lek na jego chorobę. Zachłannie zawłaszczała ciało – czuł coraz grubszą narośl w brzuchu. Docierała już do płuc. Czasami, po nowych zabiegach, trochę się zmniejszała, ale potem znowu rosła. i twardniała.

Medycy twierdzili, że dojrzewa.

Wyraźnie już czuł ją dotykiem palców, ten byt wewnątrz ciała, nieubłaganie je opanowujący. Wiedział, że choroba spotkała nie tylko jego – takich jak on naliczono już wielu – i że kończy się w jeden sposób: śmiercią w okropnych męczarniach, kiedy nieznany stwór w końcu spróbuje opuścić ciało nosiciela. Istniała droga ucieczki przed takim losem – kończący życie zastrzyk. Stwór nadal jeszcze żył, karmiąc się martwymi już tkankami, ale wtedy rozprawiano się z nim szybko i bez litości. Często wykorzystywano żyjącego jeszcze robaka do badań, celem opracowania antidotum, a także leków uśmiercających go w ludzkim ciele – bez szkody dla pacjenta. Prace jednak przebiegały powoli, a jego nieubłaganie zaczynał gonić czas. Ostateczna diagnoza brzmiała tak, jak i dla innych zarażonych – nieuleczalne stadium choroby.

Wtedy dowiedział się o istnieniu hali komór kriogenicznych. Niewielu wiedziało, że powstała, już sporo lat temu.

– Przekazujemy informację o niej ludziom naprawdę bardzo bogatym – stwierdził ze skąpym uśmiechem ordynator leczącego go zespołu. – Niewyobrażalnie bogatym… Jej utrzymanie jest szaleńczo drogie, a liczba miejsc ograniczona. Zapadnięcie w letarg w komorze, nazywanej po prostu sarkofagiem, daje jedyną szansę ujścia śmierci – ciągnął, starannie przecierając okulary. – Sądzimy, że opracujemy remedium na atakującego nasze ciała przeklętego robaka, ale prace zajmą wiele lat. Orientujemy się już, ile... On też zaśnie, a w międzyczasie automaty dostarczą ciału środki, niszczące spętanego letargiem przybysza. Ciągle udoskonalane, mocniejsze. Nowe... Powrót do życia okaże się wspaniały – wewnętrzny wróg zniknie, ciało ozdrowieje.

Pamiętał, że wydał wszystko, co miał, na przygotowania i niewyobrażalnie długi sen w komorze kriogenicznej.

Teraz, kiedy kaszląc i plując ze zmęczenia, wydzierał zwałowisku kolejne cegły i kamienie, nie miało to już znaczenia. Za to coraz częściej przypominał sobie dzień, kiedy wszedł do hali. Przypominał sobie idealnie wystrzyżone trawniki, lekki poszum wiatru, poruszającego liśćmi drzew, szum fontann, ciągnących się aż po widnokrąg i formujących wysokie kolumny wody. I wejście do hali bez okien, przypominającej kamienną, monolityczną bryłę – krótki korytarz w niepokaźnej dobudówce. Pokonał go szybko, choć miał wrażenie, że zmierza do platformy szafotu.

– Kilkanaście kroków… – mruknął do siebie, z mozołem wyciągając kolejny odłam głazu. – Przeszedłem go w okamgnieniu, więc przesmyk nie może być dłuższy.

Z wściekłością wyrwał sterczącą między cegłami metalową płytę. Mimo lampeczki ledwo ją widział – im dalej od sarkofagów, tym bardziej mrok gęstniał.

Krew kapała z palców. Oblizał je łakomie – polubił smak swojej krwi, podobnie jak szczury. Teraz towarzyszyły mu także i tutaj i też zlizywały z posadzki czerwone krople, kapiące z jego dłoni i przedramion.

Jeden z nich przerwał posiłek. Podniesiony nos łowił jakiś zapach, a potem gryzoń bez wahania skoczył na stertę urobku.

Postać w brudnym chitonie podniosła bryłę fosforyzującej materii. Już dobrze widział, że szczur wspina się do góry, ponad jego głowę, a potem niknie w niewielkim otworze. Za nim śmignęły dwa kolejne. Słyszał pisk – miał wrażenie, że radosny. Przybliżył swoje nędzne źródło światła i poczuł, jak szybko bije jego serce.

Otwór wiódł prawie pionowo do góry, a szczurzyska zniknęły.

Wydostały się. – Jedna myśl tłukła się w głowie. – *Ścierwa wykorzystały przesmyk i znalazły nowe przejście.*

Upewnił się też o jednym – ktoś starannie zasypał halę. Ukrył ją. Pewnie stanowiła teraz trzon rozległego wzgórza. Pagórka albo kurhanu, nakrytego grubą warstwą ziemi.

Z luźnych w tym miejscu kamieni, cegieł i kawałów gruzu sterczał pręt. Wyrwał go zadziwiająco łatwo. Niecierpliwie zaczął dźgać metalową zdobyczą w szpary pomiędzy elementami zwałowiska, pchając, ile tylko miał sił, podważając je, wyłuskując jeden po drugim.

Luźne! Są luźne! – Kolejna myśl zajęła umysł. – *Niestarannie zasypali wyjście.*

Ledwo zdążył uskoczyć przed lawiną głazów i cegieł, sypiącą się z góry. Kurz i pył wypełniły płuca. Spazmatycznie kaszlał, łapiąc oddech i ściskając w dłoni swoją latareczkę.

Wysoko nad głową widział niewielkie otwory, rozświetlone blaskiem dnia, a na twarzy poczuł lekki powiew powietrza. Pachniało upajająco. Światło wydobywało też

z szarego już półmroku kontury osadzonych w ścianach klamer. I coś najważniejszego – uchwyt okrągłej klapy, zamykającej wyjście.

Te otwory, może dziury w gruncie, okalały metalowe zamknięcie. Wystarczało je wyważyć.

Rzężenie szczurów przerwało rozmyślania. Dwie sztuki konały, leżąc na grzbietach, porwane zwalającą się masą kamieni. Starannie dobijał je uderzeniami pręta, aż w końcu zamilkły.

Oblizał upaćkane posoką palce. Też mu smakowała, inaczej, ale wcale nieźle.

– Zjadłbym was, żeby w końcu poczuć smak mięsa – mruknął, chwytając pierwszą ankrę w ścianie. – Gnijcie sobie, bo opuszczam wasze królestwo.

Wspinał się z wysiłkiem, ale nie czuł już zmęczenia, tylko przepełniającą go radosną euforię – wyzwolenie i wyjaśnienie wszystkiego, co się wydarzyło podczas niebytu w mroźnej komorze, znajdowało się w zasięgu jego ręki.

***

Blask słonecznego światła oślepił mu oczy. Kilka razy zamykał i otwierał powieki, żeby przyzwyczaić wzrok do zadziwiającej, tak dawno nieoglądanej jasności dnia. Klęczał na ziemi, ze spuszczoną głową, czekając, aż zacznie normalnie widzieć.

W końcu ją uniósł. Już nie atakowała go plama białego światła, porażająca tęczówki swoją intensywnością, powodująca świdrujący ból gałek ocznych. Dostrzegał wysokie źdźbła trawy, poruszane łagodnym podmuchem wiatru. Czarnego żuczka uciekającego w popłochu. Kilka nieśpiesznie wędrujących biedronek.

Ujrzał też widok, przeszywający radością niespokojnie kołaczące serce – ludzi, stojących blisko, ledwie o parę naście kroków, patrzących na niego w milczeniu.

Wyglądali dziwnie. Głowy chroniły okrągłe okrycia, przypominające kaski, teraz lśniące odbitymi promieniami słońca, a torsy osłaniały wstęgi metalu, zachodzące na siebie. w dłoniach trzymali przedmioty przypominające niedawno porzucony przez niego pręt. Końcówki gładkich kijów wieńczyły długie groty.

Na hełmie najbliżej stojącego mężczyzny pysznił się czerwony pióropusz.

Chciał coś powiedzieć, przywitać się, przekazać w powszechnie stosowanym i przez wszystkich rozumianym języku swoją radość. Ci ludzie musieli go przecież zrozumieć, znać wszędzie używaną, jednakową mowę ludzi.

Z zatkanego pyłem i kurzem gardła wydobył się tylko słaby, rzężący skrzek. Odkaszlnął, wypluł blokującą jamę ustną ziemię – i wzniósł wątłą dłoń z bryłką skamieniałej materii, aby chociaż gestem okazać, jak bardzo się cieszy.

Usta dziwnie ubranych mężczyzn teraz się poruszały. Twarz człowieka w hełmie z kitą ptasich lotek wykrzywił grymas. Wszyscy niezrozumiale wrzeszczeli, gniewnie, a kilku pospiesznie osłoniło się płaskimi platformami z jaskrawymi znakami.

Rozumiał już niektóre słowa, coraz więcej szybko wypowiadanych, kipiących wściekłością słów, wychwytywał ich znaczenie, łączył w zdania. Znał ten dziwny język, pamiętał. Rozumiał mowę używaną w bardzo zamierzchłych czasach, bo kiedyś pilnie ją studiował, a potem długo wykładał adeptom historii. Pasjonował się tą dawną mową, poświęcając jej poznaniu mnóstwo czasu – i dobrze nią kiedyś władał.

– Zabić tego śmierdzącego Gala, podziemnego szczura! Co on robi pośrodku obozu naszej kohorty!? Zasieczcie go! Zatłuczcie!

Dobrze już teraz rozumiał zdanie, powtórzone kilka razy. Widział dłonie, chwytających nowe pręty ze zgrabnie ustawionego stosiku. Wymach ramienia jednego z ludzi w kasku na głowie. Ciemną smugę oszczepu – już zrozumiał, co dzierżą w dłoniach – zmierzającą w jego kierunku. Czerwień krwi, niespodziewanie chlustającej z jego piersi. Instynktownie zmoczył w niej palce i oblizał – nadal mu smakowała. I na koniec błysk żeleźca kolejnego pręta, wbijającego się w brzuch.

Nie czuł bólu, tylko zmęczenie – i nagłą, szybko ogarniającą umysł senność. Otulił ostatnią ranę dłońmi i pomyślał, znowu padając na kolana, że jego ciało jest miękkie. Ze zdziwieniem stwierdził, że dopiero teraz spostrzegł, iż przyciskając do brzucha wylewające się jelita, nie napotyka twardości rozrastającego się robaka. Wiedział, dlaczego: pochłonięty drążeniem przesmyku zapomniał o nim. A on przestał istnieć, zniknął, odszedł w niebyt – więc jednak wszystko się udało.

Potem zobaczył wszechogarniającą go ciemność i poczuł pętające ciało przenikliwe zimno. Ten mrok wydawał się przyjazny, bo w tej miękkiej czerni nie widział czerwonych ogników ślepi szczurów. Nareszcie zniknęły.

Narastający chłód przypominał doznanie, które odczuwał, kiedy zapadał w letarg w komorze kriogenicznej – otuliny długiego snu, nawet bez strzępka świadomości istnienia.

I nareszcie bez czających się wszędzie szczurów.

***

– Zawalcie norę kamieniami i zasypcie ziemią. Mogą kryć się tam inni Galowie. – Warrus oburącz ujął miecz. Z rozmachem wbił głownię w brzuch leżącej na trawie nieruchomej postaci, okrytej brudną i pokrwawioną tkaniną. – Najpierw jednak wrzućcie do środka to ścierwo rodem z Tartaru, żeby po tym podziemnym wężu nie pozostał nawet ślad.

Wdeptał w twardą ziemię coś, co wysunęło się z dłoni trupa – guzowatą bryłę, przypominającą kamień. Rozsypała się proch.

– Centurionie, jak on wydostał się spod ziemi? – Jeden z legionistów otarł usta. Sprawnie wyrwał oszczep ze zwłok. – Gdyby wyszedł wieczorem, mógłby zarżnąć we śnie kilkunastu z nas. Na Jowisza, mieliśmy szczęście…

Warrus wzruszył ramionami.

– Wykopaliśmy podziemny chodnik i odcięliśmy Alezyjczykom dopływ wody. Jutro zaatakujemy i zdobędziemy miasto. – Wytarł zbroczone krwią dłonie w skąpą tunikę martwego człowieka. – Galów zżera głód i konają z pragnienia. Pewnie, na sam koniec, zrobili coś podobnego…

Dłonią wskazał otwór w ziemi. Dwóch legionistów sprawnie uchwyciło ciało i wepchnęło je do środka. Spadło z rumorem.

– Wydrążyliśmy podkop i skierowaliśmy ich źródło wody w inną stronę, więc wojowie Wercyngetoryksa też dokonali czegoś podobnego, chcąc jeszcze paru z nas ubić – ciągnął gawędziarskim tonem. – Zwołać resztę centurii! Szukajcie głazów! Dziesiętniku, przynieść rydle z obozu!

Żołnierze wrzucali kamienie do otworu. W dół leciały kawały pni i większe odłamy skalne. Sypała się ziemia, wykopywana zamaszystymi uderzeniami łopat. Sporej długości taran posłużył do ubijania.

– Te szczury Tartaru nic już teraz nie wskórają – zależą tylko od naszej łaski – kontynuował centurion z marzycielskim uśmiechem, bacznie obserwując wysiłki podkomendnych. – Wraz z Cezarem powrócimy w chwale do wiecznego Rzymu, źródła światła dla ciemnych ludów – żeby świętować wielki tryumf.

Surową twarz z policzkiem oszpeconym blizną przeciął skąpy uśmiech.

– Już wyobrażam sobie – dodał po chwili – jak przyjmą nas mieszkańcy największego miasta świata…

***

Chuda postać w sarkofagu, ustawionym w rogu podziemnej sali powoli otworzyła oczy, a potem je zamknęła, może przestraszona ujrzanym widokiem – szarą powłoką brudu i kurzu, przypominającą całun.

Wieko komory zgrzytnęło i wolno odskoczyło do góry. Zaczepy z boków i góry zwalniały grube pnącza przewodów, jeden po drugim. Gwałtownie odskakiwały. Pokrywa znieruchomiała.

Ze środka wolno wysunęła się chuda dłoń.

Warstwę brudu na nakryciu komory przecinało kilkadziesiąt linii, splatających się ze sobą. Przypominały nieporadnie wykonany rysunek dużego domu bez okien, z umiejscowioną z boku niewielką dobudówką.

Jeden ze szczurów, wędrujących w stronę kałuży wody, zatrzymał się, podniósł nos i zaczął węszyć. Kilka razy pisnął. Po chwili dołączył do niego drugi. I trzeci. Gromadziło się ich coraz więcej. Patrzyły, jak z komory nieporadnie wynurza się postać w jeszcze nieskazitelnie białej tunice.

Wszystkie ślepia szczurów, zgromadzonych obok sarkofagu, jednocześnie zapłonęły czerwienią.

rys. Roman Panasiuk

Sprawa Skarbka

Łukasz Henel

Jako oficer milicji obywatelskiej po skróconym kursie filozofii marksistowskiej wiem, że duchy nie istnieją. Są one wytworem walki klas. Ci wyssani z palca mieszkańcy zaświatów zostali wymyśleni jedynie po to, by zaszczepić fałszywą nadzieję w sercach mas pracujących. Robotnik bowiem, mając nadzieję życia pozagrobowego, w mniejszym stopniu będzie ubiegał się o swoje prawa, licząc, że wyzysk i poniewierka zostaną mu zrekompensowane po śmierci. Wiara we wszystko, co nadprzyrodzone, jest nie tylko niedorzeczna, ale również szkodliwa i niebezpieczna.

Z tym większą uwagą, zarówno z własnych chęci, jak i na rozkaz przełożonych, przyglądam się niepokojącej „sprawie Skarbka", widząc w niej spisek kapitalistycznych dywersantów. Wrogie zachodnie mocarstwa wysyłają na nasz teren doskonale wyszkolonych szpiegów, uzbrojonych nie tylko w sprzęt fotograficzny najnowszej generacji, ale też niejednokrotnie w broń i materiały wybuchowe. Osobnicy ci mają za zadanie destabilizować ład i porządek panujące na naszym terytorium.

Przechodząc do sedna sprawy: należy przytoczyć suche fakty. W jednym roku nastąpiły aż cztery katastrofy kopalniane, zbierając obfite żniwo śmierci. Najpierw 14 marca

1946 roku – KWK Jan Kanty Jaworzno. Niespotykanie szybko rozprzestrzeniający się pożar, w którym ginie pięciu górników. Następnie 24 czerwca KWK Murcki – tąpnięcie i osunięcie się stropu, straszliwa katastrofa, w której ginie siedem osób. KWK Ludwik w Zabrzu, miesiąc później – kolejne pięć ofiar. Wreszcie, kiedy po spokojnym sierpniu władze górnicze nabrały przeświadczenia, że czarna seria wreszcie się skończyła, 24 września dochodzi do tajemniczego zjawiska wyrzutu skał. Szczególnie ten wypadek, w którym śmierć ponosi kolejne pięć osób, zaczyna niepokoić zarząd kopalniany. Niepokojące sygnały docierają do Wojewódzkiej Komendy Milicji Obywatelskiej w Katowicach. Rozpoczyna się śledztwo, ze względu na swój charakter noszące klauzulę ścisłej tajności. Działania toczą się pod kryptonimem „Sprawa Skarbka".

***

– Jak to się więc stało, obywatelu – zapytuje po raz trzeci podporucznik Jan Tytoń – że w ciągu jednego roku zmieniliście pracę cztery razy?

– Jużech mówił – wyjaśnia cierpliwie strzałowy Ignacy Grzmot. – Coby ludzi przed Skarbkiem uchronić.

– Tam górnicy poginęli. – Tytoń czuje, że powoli puszczają mu nerwy. – A wy mi, obywatelu, jakieś bajdy prawicie!

– To nie bajdy, ino prawda najprawdziwsza – upiera się strzałowy. – Zmieniałech prace, co by tego diabła uchwycić, a ludzi zawczas ostrzec. Skarbek, gadają, duch dobry, niby górnikom pomoc niesie, ale teraz on czymś strasznie rozjuszony, bo gdzie się nie pokaże, tam tragedia jakaś gotowa.

– Widzieliście tego Skarbka? – Podporucznikowi świta w głowie nowa myśl. – Potrafilibyście podać jego rysopis?

– Z bliska żech nie widzioł. Ino z daleka. Duży był, ponury, starca z długą brodą przypominał albo mnicha. W ciemności się krył, dlatego dokładnie, panie władzo, opisać nie umiem. Ale strach wielki. Bałech się za każdym razem bardziej, bo jakiem go widzioł, zaroz jakoś straszna tragedia się zdarzała.

– Czy ktoś jeszcze prócz was widział tego… hmmm… „Skarbka"?

Maszyna do pisania przestaje na moment stukać. Strzałowy drapie się po głowie, widać, że jest zakłopotany.

– A nie. Nawet jak żech palcem pokozywoł i wołoł: patrzajcie, to nikt nic nie widzioł, ino jo.

Tytoń ma wrażenie, że śledztwo utknęło w martwym punkcie. Facet jest podejrzany, zawsze po tym, kiedy przenosił się do kopalni, dochodziło do katastrofy. A jednak to tylko poszlaki, zbyt mało, by go posadzić. Poza tym Grzmot wydaje się zanadto prostoduszny, zbyt mało bystry, by mógł przeprowadzać dywersję w kopalniach na tak wielką skalę. Ktoś, kto tego dokonuje, musi być przebiegły, sprytny, działać szybko. Z jednej strony strzałowy miałby dobry dostęp do dynamitu, a drugiej brakuje tu jakiegoś wyraźnego motywu. Słuszniej, lepiej będzie wypuścić go i wziąć pod obserwację. Może popełni jakiś błąd.

***

Ze względu na rangę sprawy Tytoń zamierza zabrać się do tego osobiście. Mógłby oczywiście zlecić sprawę komu innemu. Będąc najzupełniej szczerym trzeba stwierdzić nawet, że popełnia błąd. Strzałowy może go łatwo rozpoznać i zdemaskować.

Późną nocą podporucznik rozczytuje się w wypożyczonych z wojewódzkiej biblioteki książkach. Przegląda zagadkowe ryciny. To, co widzi, wcale nie wydaje się pogodnym wytworem ludowej wyobraźni. Nie ma nic wspólnego z obrazkami, jakie nieraz ujrzeć można w sklepach sieci Cepelia. Spodziewał się kogoś na kształt wesołego krasnala, w czerwonej czapce i wysokich butach z cholewami. Tymczasem widzi ponurego starca, wyciosanego jakby z bryły węgla, trzymającego w rękach zapaloną świecę. Twarz skryta w mroku, przysłonięta kapturem. Od tej postaci bije jakiś chłód, jakaś wrogość, zupełnie jakby istotnie Skarbek był surowym strażnikiem podziemnego świata. Czy to właśnie jego mógł zobaczyć strzałowy? Podporucznik odrzuca od siebie tę myśl całą siłą woli. Bzdury. Nonsens. Brednie.

Kiedy zapada w sen, widzi ciemne korytarze. Zdają ciągnąć się bez końca. Z daleka dobiegają do niego jakieś dudnienia, łoskoty, krzyki. Przyspiesza kroku, pragnie wydostać się na powierzchnię. Przytłaczająca świadomość milionów ton skał nad głową odbiera mu oddech. Wszystko może runąć, zawalić się w każdej chwili, pogrzebać żywcem. Co za straszny pomysł wgryzać się tak w trzewia ziemi, drążąc podziemnie korytarze. Jakieś światło miga gdzieś daleko, dygocze i znika raz za razem, jakby przysłaniane dłonią. Biegnie przed siebie, zahaczając o leżące na ziemi podkłady kolejowe, wpada na drewniane stemple podpierające chodnik. Wreszcie jest – ciemna, zakapturzona postać. Dostrzega ją jakieś kilkadziesiąt metrów przed sobą. Wprawna ręka sięga do kabury, wyszarpuje VIS-a. Gromy wystrzałów brzmią ogłuszająco w tych klaustrofobicznych korytarzach. Chybił. Wszystko na nic. Zjawa znika.

Biegnąc dalej napotyka gromadę zajętych fedrowaniem górników. Widział Skarbka, skądś wie, że nadchodzi straszna katastrofa.

– Uciekajcie! – woła głośno. – Będzie wybuch! W powietrzu jest metan!

Odpowiadają mu urągliwe śmiechy. Nikt nie wierzy, nikt nie chce słuchać. A przecież było ostrzeżenie, przecież widział na własne oczy tę zwiastującą nieszczęście, strzegącą podziemi zjawę. Nagle błysk i huk. Fala nieskończonego gorąca wtłacza się w jego ciało, wypala oczy, wlewa się do płuc. Nie może już nawet krzyczeć.

Podporucznik zrywa się z łóżka bladym świtem.

***

Jakaś osobliwa gorączka ogarnia jego umysł. Musi dopaść „Skarbka", zdemaskować oszusta i wyjawić prawdę. Jest coś pociągającego w tej grze. Im więcej myśli o swoim przeciwniku, tym większy czuje dla niego szacunek. Wreszcie napotkał sprawę inną niż zmagania ze złodziejami czy nawet pospolitymi mordercami. Kimkolwiek jest sprawca katastrof, nie przyświeca mu zwykła chęć zysku, nienawiść lub zazdrość. Przypadkowe na pozór ataki muszą służyć jakiemuś wyższemu celowi.

Grzmot pracuje teraz w KWK Milowice, w Sosnowcu. Jeśli cokolwiek łączy go ze sprawą, właśnie tam można spodziewać się kolejnego ataku, następnej katastrofy. Zdobycie przepustki na teren kopalni nie stanowi problemu. Podporucznik będzie udawał nowego, przyjętego do pracy górnika. Przebrany w roboczy strój i gumowe buty, z twarzą zawczasu przemyślnie ubrudzoną węglem i brudem wepchniętym za paznokcie miesza się z tłumem udającym się na pierwszą zmianę, tę samą, na której znaleźć ma się strzałowy. Nie rzuca się w oczy, trzyma się na boku. Już dostrzegł swojego podejrzanego, usiłuje nie spuszczać go z oczu. Ponure, ciężkie chmury wiszą nad szybami, dachami i kominami kopalni. W oddali widać okopcone, zbudowane z czerwonej cegły familoki. Basowe zawodzenie syreny kopalnianej przynagla zmierzających do pracy górników. W narzędziowni dostają kaski i lampy metanowe, ostrzegające przed obecnością tego zabójczo niebezpiecznego gazu.

Zjeżdżają pod ziemię z zawrotną prędkością, która zdaje się podnosić żołądek aż do gardła. Winda przypomina wielką, stalową klatkę, w której stłoczono przeszło dwadzieścia osób. Zjeżdża w drugim transporcie, zaraz po grupie, w której jest obserwowany przez niego strzałowy. Stalowe liny pobrzękują, metalowa podłoga drży pod stopami. Słaba, żółta żarówka mruga zaciekle przy każdym wstrząsie. Niektórzy z górników żegnają się ukradkiem.

– Aby Skarbek nas przed złym ustrzegł – mamrocze któryś.

Podporucznik po raz pierwszy jest tak głęboko pod ziemią, w pogłębionym szybie „Anna". Temperatura zdaje zmieniać się gwałtownie, raz jest gorąco i parno, tak że z trudem można oddychać, za moment znów wieje skądś nagłym chłodem i wilgocią. Wreszcie winda zatrzymuje się z łoskotem.

Rozmieszczone w szybie kopalni lampy jedynie po części dają sobie radę z wszechobecną ciemnością. Górnicy zapalają lampki na kaskach, odpalają „metanówki", każdy zna swój przydział, idzie do swojej roboty. Gdzieś słychać huczący głośno kombajn. Brygadzista przygląda mu się bacznie, ale po chwili błysk zrozumienia przemyka po jego twarzy. Tak, to pewnie ten „tajniak", dostał instrukcje, że ma go „nie widzieć".

Nie niepokojony przez nikogo podporucznik stara się obserwować maszerującego przed siebie równym krokiem podejrzanego. Ten oddalił się od grupy, idzie gdzieś w głąb kopalni. Dobrze, że jest tak ciemno, można skryć się w mroku. Nawet gdyby Grzmot obejrzał się, pewnie nie zauważyłby przemykającego za wagonikami i drewnianymi, smołowanymi stemplami Tytonia. Milicjant dla pewności sprawdza kieszeń, tak, broń jest na swoim miejscu. Zdaje mu się, że sprawa zbliża się do zakończenia, a szczęście mu dopisuje. Kto wie, może już za chwilę ujmie przestępcę na gorącym uczynku, jak podkłada ładunek wybuchowy.

Zastanawia się, czy porcja dynamitu mogłaby spowodować katastrofę na miarę tej z Jaworzna, Murcek czy Zabrza. Prawdopodobnie tak, zwłaszcza jeśli posiada się wiedzę, jaką musi mieć strzałowy. Jeśli wie się, gdzie umieścić ładunek, by miał on jak największą siłę rażenia. Jeśli zna się, chociażby w przybliżeniu, przypuszczalne lokalizacje złóż zawierających metan.

Nagle podporucznik dostrzega w jednej z bocznych nisz, w której stoją pełne już wózki z urobkiem, coś, co początkowo uznaje za wiszący na kamiennej ścianie brudny worek. Po chwili jednak zaskoczenie pęta mu nogi, sprawia, że milicjant zatrzymuje się w miejscu jak wryty. W odległości kilkudziesięciu metrów, w ciemnej niszy, dostrzega jakby mnicha, okutanego w długą szatę i trzymającego w ręku zapaloną świecę.

To musi być przebieraniec, myśli. Pewnie działają razem, w zmowie z Grzmotem. Stąd właśnie biorą się te historyjki o rzekomym Skarbniku, a celem tych działań jest nie tylko dywersja, ale też wzmocnienie zabobonów pośród górniczej braci.

– Stój! Milicja! – woła, wyszarpując VIS-a. Myśli przelatują mu przez głowę niczym błyskawice. „Skarbek" wykonuje zdradliwy ruch, zdaje się, jakby przywołuje, lecz może sięga pod połę swojego okrycia...

– Nie ruszaj się! – krzyczy podporucznik. Pod szatą może być niemal wszystko. Broń, granat, ładunek dynamitu przygotowany do samobójczej detonacji. Kapsułka z trucizną przygotowaną do połknięcia. Jest już blisko. Może kilkanaście kroków i dopadnie przestępcę. Może to wyobraźnia, a jednak widzi wyraźnie, że coś znajduje się pod ubraniem „Skarbka", że ręka, która powróci, może nie być wcale pusta.

Lata służby w Milicji Obywatelskiej nauczyły go nie lekceważyć zagrożeń. Miał już do czynienia z ludźmi, którzy poddawali się wychodząc z podniesionymi rękoma, a w rękawach mieli ukryte, odbezpieczone granaty. Decyduje się strzelić, celując w brzuch. Strzał w brzuch paraliżuje mięśnie i uniemożliwia wyciągnięcie zawleczki lub naciśnięcie spustu.

Raz, dwa, VIS szarpie ramieniem podporucznika. Huk uderza po uszach. Łuski spadają na podłogę i z brzdękiem nikną między tłuczniem, na którym zamontowano szyny. Dopada swojego przeciwnika. Ręce jednak napotykają jedynie kamienną ścianę. W niszy nie ma nikogo.

Irracjonalna myśl przeszywa jego głowę. Odwraca się, biegnie w stronę wyrobiska, tam gdzie poszedł strzałowy Grzmot.

– Hej! – krzyczy co sił w płucach. – Uciekajmy! Uciekaaajmy!

Coś jakby wielka lekkość ogrania jego ciało i myśli. Czy coś się stało? Jakiś huk, jakiś błysk, ale jakby daleko… tak daleko…

***

KWK Marcel Radlin, 6 listopada 1947

– I co tam młody nam jeszcze opowiesz? – śmieją się kompani. Mówią na niego młody, chociaż facet ma na karku czterdziestkę. Ale w kopalni nowy, da się poznać, że od niedawna pracuje. Zamknięty w sobie, niechętnie daje się podpuścić. Ale jak już zacznie gadać, to ubaw po pachy. Niby że w milicji pracował i jakiegoś przestępcy w kopalni szukał. W kopalni? A czemu nie na księżycu, dopytuje się ten i ów. Żarty to są rubaszne, ale w gruncie rzeczy pozbawione autentycznej złośliwości. W kopalni żartuje się ze wszystkiego, żeby nie zwariować ze strachu. Nikt z kompanów się o to nie obraża na dłużej niż trwa wypalenie jednego skręta z „tytuniu".

Jeden tylko brygadzista przygląda się młodemu z uwagą. Jest coś w jego opowieściach, co go niepokoi. O wypadku w Milowicach, w szybie Anna nie słyszał. Ale może jest jakaś prawda w tym co „młody" opowiada. Niby że jak ścigał tego przestępcę, to

mu się sam Skarbek ukazał i zwiastował niebezpieczeństwo. A potem, że wybuch jakiś nastąpił, ale w końcu nie wiadomo, czy to metan poszedł, czy ten strzałowy coś wysadził. Nowy opowiada, że niby sam z życiem cudem uszedł, że ten drugi zginął. Ale coś się w tej historii kupy nie trzyma. Bo czemu z milicji odszedł, a do kopalni przyszedł? Co za siła dziwna go tu przygnała? A ta blizna na głowie, czy nie może potwierdzać jego wersji zdarzeń?

Fajrant się kończy, górnicy spluwają w dłonie i biorą się do roboty. Wysyłają młodego bardziej ku przodkowi, żeby się rozeznał, czy woda do chłodzenia wyrobiska się nie kończy. W międzyczasie sami gadają, jak to z nim mogło naprawdę być. Pewnie w kryminale siedział przez lata albo popijał tęgo. A że piątej klepki mu brakuje, nic dziwnego, że tam, skąd przyszedł, miejsca nie zagrzał. Nagle nowy nadbiega. Twarz poszarzała, oczy rozszerzone ze strachu.

– Chłopaki! Ratujcie się! Widziałem go! Znowu się pokazał!

Na moment kilofy zastygają w dłoniach. Zapada cisza, w której słychać tylko monotonną pracę górniczego kombajnu. Wtem wybucha śmiech, głośny, chóralny. Ten śmiech chłoszcze, policzkuje bezlitośnie dawnego podporucznika Milicji Obywatelskiej.

– Ha, ha! Kogoś chopie widzioł? Skarbka? Ty, wyź no chuchnij, czyś nie wypity!

Jeden tylko brygadzista Alojz milczy, przyglądając się bacznie twarzy Tytonia. Czy to cienie tak grają, czy w jego twarzy dostrzega jakąś jeszcze inną twarz? Coś dziwnego jest w tym człowieku, tak dziwnego, że trudno to nazwać. Nowy cofa się, jakby pod naporem śmiechu, na sztywnych nogach. Zawraca, odchodzi, znika na przodku.

***

Minuta później

Alojz rzuca się pędem w tamtą stronę. Zrozumiał. Śmiech umilkł jak ucięty nożem. Może jeszcze nie jest za późno. Lecz w tym czasie już doświadczone palce byłego podporucznika Tytonia założyły zapalniki. Tu, niedaleko, idzie żyła z metanem. Na jego twarzy widać uśmiech, kiedy uruchamia detonator.

Huk, tragedia, katastrofa. Pięć ofiar śmiertelnych, wielu ciężko rannych. Sam sprawca wybuchu rozerwany na strzępy. Wśród cudem ocalonych – brygadzista. Wiele lat później powie „prawdziwe duchy mieszkają tam, gdzie najmniej się tego spodziewamy".

PARTNERZY

OKIEM
Na horror
www.facebook.com/okiem.na.horror

KOSTNICA
POZORNIE MARTWA STREFA
www.kostnica.com.pl

SZORTAL
UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

Książkożerca

wydaje.pl

HORROR.COM.PL

StephenKing.pl

Lastinn.info
SPOŁECZNOŚĆ RPG

CREATIO FANTASTICA
WWW.CREATIO.ART.PL

HorrorNaRoztoczu.pl
11 autorów
13 ilustratorów
17 mrocznych historii
Horror na Roztoczu
Koszmar spoza granicy snów
DOSTĘPNE
w przedsprzedaży na
Polak potrafi

rysowanki

Towarzyska

NUCLEAR TROPIC PRODUCTION

Jeśli piszesz horrory, wiedz, że HISTERIA się tobą interesuje

Czekamy na Wasze histerie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com